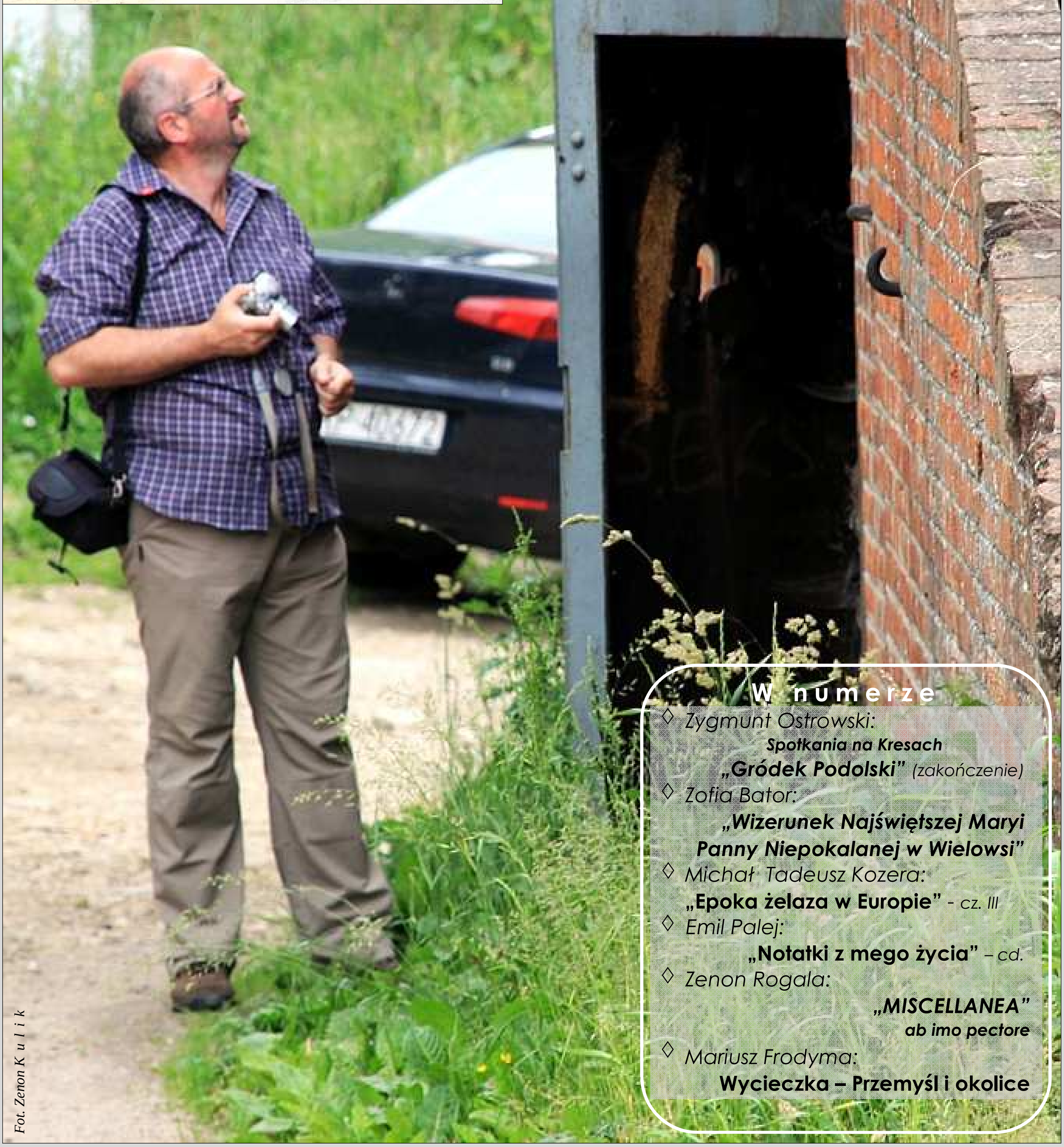
STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856
Nr 06/2012
80

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE





Fot. Zenon K u l i k

W numerze

SPOTKANIA NA KRESACH

GRÓDEK PODOLSKI

cd.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ks. Wanags zaczął patronować odradzaniu się wspólnot katolickich na całym Środkowym Naddniestrzu. Rejestrował parafie i odzyskiwał kościoły zamienione na kołchozowe magazyny lub kluby. Gdy miejscowe władze stawiały opór, urządzał z wiernymi najazdy na ich siedziby i w nich odprawiał nabożeństwo. Nie zdarzyło się, by po takiej „demonstracji" miejscowi urzędnicy nie zmienili zdania.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy upadł Związek Sowiecki, Gródek otaczał wianuszek osiemnastu odrodzonych parafii, których ks. Wanags był formalnym proboszczem. By je obsłużyć, korzystał z pomocy trzech wikarych i zaprzyjaźnionych księży z Polski, wykładających między innymi w seminarium duchownym. Wśród nich był ks. prof. Dzwonkowski, dojeżdżający w latach dziewięćdziesiątych regularnie do Gródka.

Równolegle z pracą duszpasterską ks. Wanags budował od podstaw, bądź odbudowywał i rewaloryzował naraz po kilka kościołów odzyskanych przez wiernych, najczęściej w stanie ruiny. W sumie wzniósł lub przywrócił do dawnej świetności dwadzieścia świątyń. Niektórzy proboszczowie dziś je użytkujący nazywają je „wanagsstrojkami", narzekają, że są za duże, zimą nie do ogrzania i wykonane z kiepskich materiałów, w związku z czym stale je trzeba remontować. Wyraźnie jednak odcinają się od kołchozowej architektury, betonowych bloków, zrujnowanych ferm i pomników Lenina, wyznaczających po dziś dzień ideową część wielu tutejszych miejscowości. Przypominają o zasięgu przyniesionej na te ziemie przez Polaków łacińskiej kultury.

W swoim budowlanym pędzie ks. Władysław Wanags nie zapominał oczywiście o Gródku. Zbudował w tej miejscowości jeszcze dwa kościoły, najpierw w latach 1995-1998 świątynię pw. św. Józefa w dzielnicy Marchlówka, a w 1997 roku zarejestrował parafię św. Faustyny w osiedlu Wiktoria, która po paru latach wzniosła własną świątynię. Gródecki proboszcz nie tylko budował nowe kościoły, ale je wyposażał w podstawowe rzeczy, a zwłaszcza w obrazy. Ich malowaniem zajmował się mocno zaprzyjaźniony z nim pan Stanisław Gumieniuk, dla którego zorganizował na strychu w seminarium specjalną pracownię. – Tak gnał z tymi budowami, że ja nie nadążyłem z malowaniem obrazów – mówi. – Kiedyś zażartowałem, wznoś mniej tych kościołów, bo ja się nie wyrabiam i będą stały puste. Machnął tylko ręką i kazał mi się spieszyć…

Ksiądz Władysław postarał się dla Gródka o jeszcze jedną instytucję. Gdy władze rejonowe zaczęły przeprowadzać się do nowego budynku specjalnie wzniesionego, przypominał im, że ten dotychczas przez nich zajmowany to dawny klasztor Sióstr Miłosierdzia, zagrabiony przez bolszewików i powinien zostać zwrócony Kościołowi. Nie miał co prawda dokumentów, ale architektura budynku jednoznacznie wskazywała na jego klasztorny charakter. Odzyskawszy, początkowo chciał go wykorzystać na cele parafialne, ale na prośbę biskupa Jana Olszańskiego przekazał go diecezji na siedzibę Instytutu Nauk Religijnych Diecezji Kamieniecko-Podolskiej, filii Uniwersytetu Laterańskiego w Rzymie. – Dzięki decyzji ks. Wanagsa Gródek zyskał kolejną uczelnię teologiczną, której absolwenci uzyskują tytuł magistra – mówi p.o. rektora placówki ks. Władysław Zaryczny. – Szkoła wyższa kształci w trybie zaocznym osoby świeckie w czterech specjalnościach: pedagogiczno-katechetycznej, muzyczno-liturgicznej, poradnictwo rodzinne i chrześcijańska komunikacja społeczna.

Budynek dawnego klasztoru został oczywiście przez ks. Władysława wyremontowany i nadbudowany. Znajduje się w samym centrum i dachem z czerwonych dachówek odróżnia się zdecydowanie od otoczenia. Jest widoczny z daleka.

Pisząc o działalności ks. Wanagsa, nie sposób pominąć kwestii jego współpracy z prawosławnymi. Starał się, by była ona jak najlepsza. Widząc, że nie mają się gdzie modlić, pomógł im zbudować nową dużą cerkiew z tyłu za kościołem na skraju starego cmentarza. Nie tylko przekazał im plac, ale pomógł też wspólnocie prawosławnej zdobyć materiały budowlane, co wówczas było bardzo trudne. Otoczył także opieką młodego batiuszkę. Załatwił mu swoimi kanałami możliwość studiów teologicznych w Niemczech. Po powrocie ze studiów batiuszka przez jakiś czas wykładał nawet w seminarium teologię porównawczą. Z chwilą pogorszenia relacji między Kościołem rzymskokatolickim a Cerkwią prawosławną Moskiewskiego Patriarchatu batiuszka w ramach „wdzięczności" stał się głównym wrogiem gródeckich katolików. Tak niestety jest po dziś dzień.

Na kilka lat przed śmiercią ks. Wanagsa w ramach dekomunizacji ulic, deputowani miejscowej rady miejskiej zgodzili się, by „Zaułek Pionierski", czyli uliczkę prowadzącą z głównej ulicy do kościoła, przemianowano na „Zaułek Wanagsa". Z taką inicjatywą wystąpił wtedy już deputowany Stanisław Gumieniuk. Nikt z obecnych na sali nie sprzeciwił się jego propozycji. - Sam ks. Władysław nie był tym zachwycony - wspomina pan Stanisław. - Mówił, że kultu jednostki nam się zachciewa. W końcu machnął ręką i przestał się tym przejmować. Gdy dobiegał siedemdziesiątki i wszyscy wiedzieli o jego chorobie, zaproponowałem, że namaluję mu portret, by ci, którzy przyjdą po nas, wiedzieli, jak wyglądał słynny gródecki proboszcz. Nie zgodził się. Udało mi się jednak go przekonać. Mówię mu: „Nie bądź głupi. Jak umrzesz, to ktoś ze zdjęcia namaluje twój portret, a ja towarzyszę ci od wielu lat, znam twój charakter i namaluję najlepiej jak umiem. Jak ktoś obcy się za to zabierze i zobaczysz jego dzieło, to się będziesz w grobie przewracał". To go przekonało. Zastrzegł jednak, że nie będzie mi pozował. Nie musiał, namalowałem dwa portrety. Oba mu się podobały…

Do końca życia ksiądz Wanags znany był ze swej ruchliwości. Biegał między kościołem a kolejnymi budowlami, nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu nawet pięć minut! Do „Domu Miłosierdzia" przygarniał samotnych starców, kaleki i bezdomnych, którzy

w latach kryzysu bez jego pomocy byliby skazani na śmierć głodową. Przyjmował każdego bez względu na narodowość, wiarę czy wyznanie, widział w każdym przede wszystkim człowieka. Zyskał swoją postawą szacunek wszystkich. Nawet swoich dawnych prześladowców.

Na rok przed śmiercią w wypowiedzi dla „Głosu Podola" mówił, jak zasłużyć sobie na łaskę Najwyższego. Według niego trzeba: „Wierzyć. Oddać całkowicie się Bogu, oderwać się od świata, poznać ducha swego. Prosić Matkę Bożą, ili kto ma więcej zaufania do Serca Jezusa, ili do Matki Bożej, czy do Św. Antoniego, czy św. Józefa, żeby on pomógł mnie stać się doskonałym. Ubogacić siebie, oddać życie, żeby Bóg nim rządził. Nie moją, a tylko Jego wolę wypełniać w życiu. Żeby ja wypełniał tylko wolę Boga. Bóg przyjdzie na spotkanie. Bóg jest miłością. Bardzo miłosierny. Bóg tak miłuje ludzi, że my nie możemy sobie wyobrazić. (…) A jeśli będzie trochę Bogu, trochę mamonie, to nic nie będzie. Szukać Boga, oddasja Bogu i wsio. Nie dać nikomu zgorszenia, każdemu pomóc co można".

Kilka miesięcy przed śmiercią Konferencja Episkopatu Polski przyznała mu wyróżnienie „TOTUS" Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia" w kategorii: „Za osiągnięcia na rzecz promocji człowieka, za pracę charytatywną i edukacyjną". – Ksiądz Władysław czuł się wtedy już źle – wspomina ks. Antoni Andruszczyszyn. – Wiedział, że umiera. Sam wybrał sobie miejsce, w którym chciał spocząć na cmentarzu. Wierni także zdawali sobie sprawę, że odchodzi. Po powrocie z uroczystości, na których otrzymał nagrodę „TOTUS", położył się do łóżka i już nie wstał. Odchodził całkowicie pogodzony z wolą Bożą. Pocieszał tych, którzy odwiedzając go, płakali. Gdy na kilka dni przed śmiercią przyszedł go odwiedzić pan Antoni Kostecki z żoną, rozpłakał się jak dziecko. Spojrzał na niego i powiedział: „Nie płacz. Spotkamy się jeszcze. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

Ksiądz Wanags zmarł o 22^{45} 11 listopada 2001 roku w siedemdziesiątym roku życia. W chwilę później parafialne dzwony zaczęły bić, informując wszystkich, że ten niezmordowany zdawałoby się kapłan przeszedł już do historii. Kilka minut później o smutnej nowinie informowały już dzwony całej zachodniej części diecezji kamieniecko-podolskiej. Tej nocy w wielu domach nad Smotryczem popłynęły łzy.

Na pogrzeb ks. Wanagsa przyjechało całe Podole. Dziesiątki tysięcy ludzi żegnały kapłana, który umiał obumrzeć jak ziarno, aby kłosy wiary mogły wyrosnąć w sercach przyszłych pokoleń…

Do 2003 roku w Gródku proboszczował ks. Antoni Andruszczyszyn, dopóki miariańscy przełożeni nie przesunęli go na inną placówkę. Przyszło mu jeszcze bronić budowlanej spuścizny swego wielkiego poprzednika. Okazało się, że po jego śmierci wielu z tych, którym nie udało się powstrzymać budowlanej ofensywy ks. Wanagsa, odzyskało odwagę. – Przyjechali do mnie całą komisją i zażądali przedstawienia dokumentacji wszystkich zbudowanych przez ks. Władysława obiektów – śmieje się ks. Antoni. – Zaprowadziłem ich na jego grób i powiedziałem, że dokumentacja jest w głowie tego, który tu spoczywa. Mnie on bowiem nic nie przekazał. Wygarnąłem im także, że jak żył, to go się bali i pozwalali na wszystko, a teraz nagle przypomnieli sobie o wymogach prawa… Coś tam pod nosem pomruczeli i poszli.

Obecnym proboszczem Gródka jest ks. Wiktor Łutkowski, marianin i wychowanek ks. Władysława Wanagsa, który godnie kontynuuje zapoczątkowane przez niego dzieła. Pochodzi z tutejszej dobrej polskiej i katolickiej rodziny. Urodził się w 1969 roku, zdążył jeszcze uczęszczać do sowieckiej szkoły, w której uczono, że Boga nie ma, a religia to przeżytek. Ukończył seminarium mariańskie w Lublinie i przez trzy lata pracował w Charkowie, a także w mariańskim piśmie. Następnie przełożeni wysłali go na studia doktoranckie na KUL w Lublinie, po ukończeniu których, przydzielony został do Gródka.

Godzenie pracy naukowej z duszpasterską nie jest łatwe, bo Gródek to nie jest zwykła parafia. Jest na wskroś przesiąknięta duchem ks. Wanagsa i jego poprzedników i nic nie da się tu zrobić na ćwierć gwizdka lub wbrew przyjętym tradycjom i zwyczajom. Ksiądz Wiktor doskonale jednak rozumie swoich ziomków. Z szacunkiem i pokorą odnosi się też do swoich poprzedników. Z ogromną estymą wspomina zwłaszcza swego duchowego wychowawcę ks. Władysława Wanagsa. Nie ukrywa, że swoje mariańskie powołanie zawdzięcza właśnie jemu. – Był to człowiek nadzwyczaj wielkiej wiary, każdego dnia, towarzysząc mu jako ministrant, widziałem, jak Bóg przez niego przemawia – podkreśla ks. Wiktor. – Bardzo trudno było w tamtych czasach zobaczyć kogoś takiego. W każdym najdrobniejszym nawet jego działaniu widać było obecność Najwyższego. Zawsze kiedy by się nie przyszło do kościoła, można go było zobaczyć na modlitwie. Często profesorowie przyjeżdżający do seminarium widzieli, jak o drugiej czy trzeciej w nocy w kościele paliło się światło. Gdy jeden z nich zajrzał do środka myślał, że nikogo tam nie ma. Dopiero po chwili zauważył w półmroku, że ks. Wanags leży krzyżem na posadzce i się modli. Takie sytuacje były bardzo częste. Także w czasach sowieckich, gdy nie był jeszcze zbudowany kościół, a wierni modlili się w kaplicy. Wieczorem kilka osób zawsze odprowadzało ks. Wanagsa do domu, w którym mieszkał, by po drodze nie napadli go na przykład nieznani sprawcy. Ten zaś, gdy odeszli, wracał sam do kaplicy i modlił się przez kilka godzin, budząc tym przerażenie u osób, które go miały pilnować. Ksiądz Wanags znany był też ze swego miłosierdzia. Żaden biedny, który zapukał do jego drzwi, nie odchodził z pustymi rękoma. Obojętne, czy był pijakiem, czy narkomanem. Ksiądz Wanags rozdawał im wszystko, co miał.

Gdy ksiądz Wiktor został proboszczem, odkrył też inne cechy swojego poprzednika, o których mało kto wiedział. Zachował się bowiem ubogi pokój przy kościele, wokół którego dobudowano także pomieszczenia parafialne i mariański klasztorek. – Ksiądz Wanags spał na łóżku, w którym zamiast materaca leżały kamienie. Na dzień łóżko było zamykane i nikt o tym nie wiedział. Zachował się też bat, którym ks. Władysław się biczował. Jako kapłan wychowany w duchu trydenckim swoją duchową siłę czerpał nie tylko z modlitwy, ale z wielkiej ascezy i pokuty. Chcemy obecnie urządzić w tym pokoju izbę pamięci, w której zgromadzimy zachowane po nim pamiątki – książki, sutanny, ornaty, rzeczy osobiste. Chcemy, by najmłodsze pokolenie, które obecnie przychodzi do kościoła i nie znało już księdza Wanagsa, mogło przynajmniej wyobrazić sobie, co to był za kapłan. Izbę

muzealną połączymy z nowo otwartą biblioteką parafialną i na pewno będzie ona często odwiedzana. Niektórym parafianom sama izba pamięci pewnie nie wystarczy. Gdy umieściliśmy w piątą rocznicę jego śmierci pamiątkową tablicę w przedsionku kościoła, od razu ludzie zaczęli mówić, że ks. Wanags zasługuje na pomnik. Ja jednak twierdzę, że żaden monument nie jest mu potrzebny. On sam sobie zbudował pomnik: kościół, seminarium i „Dom Miłosierdzia", które stale będą go przypominać.

Obecny proboszcz mobilizuje parafian, by dziedzictwo ks. Wanagsa jaśniało pełnym blaskiem. Przeprowadził m.in. konserwację wizerunku św. Antoniego zwanego „gródeckim". Jedynego cudownego obrazu, który przetrwał na sowieckiej Ukrainie. Cała operacja kosztowała siedem tysięcy dolarów. Gródczanie zebrali tę kwotę, bo święty Antoni cieszy się wśród nich ogromnym kultem. Są przekonani, że to właśnie on swoim orędownictwem w niebie sprawił, że Gródek przetrwał szczęśliwie czas sowieckich prześladowań, represji, przymusowej ateizacji i depolonizacji.

Ksiądz Wiktor umacnia też stworzoną przez ks. Wanagsa spuściznę. Założył ogrzewanie w kościele, rozpoczął remont i przebudowę klasztornego zaplecza dobudowanego do kościoła od strony prezbiterium. Wzniesione w pośpiechu było niefunkcjonalne, wymagało przeróbek i adaptacji do współczesnych warunków. Powstanie w nim zaplecze parafialne i mieszkalne dla pracujących w Gródku księży marianów. W stanie nienaruszonym pozostanie tylko pokój ks. Wanagsa. – Udało nam się wykonać już część prac. Gotowe są zakrystia, kancelaria i biblioteka. Następne pomieszczenia będziemy wykańczać stopniowo. Jak tylko uda nam się zgromadzić środki, co jak wiadomo nie jest łatwe.

Choć w Gródku są już trzy katolickie parafie, to najstarsi Polacy mieszkający w odleglejszych dzielnicach tego rozrzuconego w dolinie Smotrycza miasteczka, takich jak Wiktoria czy Marchlówka przyjeżdżają do tej najstarszej pw. św. Stanisława. Cały zaułek im. ks. Wanagsa prowadzący z głównej ulicy do kościoła przed każdą Mszą Świętą jest wypełniony samochodami. – Ludzie są z tą parafią po prostu emocjonalnie związani – tłumaczy ks. Wiktor Łutkowski. – Tu byli chrzczeni, brali śluby itp. Przez dziesięciolecia walczyli też o prawo istnienia na gródeckim cmentarzu kaplicy, na bazie której ks. Wanags zbudował później kościół. Wielu z nich zapłaciło za to konkretną cenę. Gdy widzę więc na Mszy Świętej kogoś z Marchlówki czy z Wiktorii, to nie mogę ich wypraszać ze świątyni i przypominać im, że mają już własne parafie. Chodząc po otoczeniu kościoła i zaglądając do jego wnętrza, łatwo zauważyć, jakie jeszcze duchowe magnesy przyciągają rzesze wiernych do najstarszej gródeckiej parafii. Są to Cudowny Obraz św. Antoniego, a także grób ks. Władysława Wanagsa. On także jest otoczony kultem wiernych. – Ludzie mający najróżniejsze kłopoty i trudności, nie umiejący sobie z nimi poradzić, przychodzą z nimi do ks. Władysława i proszą o wstawiennictwo. Wierzą, że jest skuteczne. Ja też jestem o tym przekonany. Jeżeli tylko napotykam na swojej kapłańskiej drodze jakieś bariery nie do przezwyciężenia, modlę się do ks. Wanagsa i zawsze otrzymuję pomoc. Jest to dla mnie kolejny dowód, że był to naprawdę Boży człowiek.

Orędownictwo ks. Wanagsa jest szczególnie potrzebne ks. Wiktorowi Tkaczowi, marianinowi pracującemu w Gródku, który z ogromnym heroizmem pełni funkcję dyrektora „Domu Miłosierdzia", noszącego imię swojego budowniczego i pierwszego dyrektora. Placówka ta należy do Zgromadzenia Marianów na Ukrainie. Dla władz jest to ośrodek prywatny i dlatego nie dostaje żadnych państwowych dotacji. Ksiądz Wiktor musi się więc sporo nagimnastykować, żeby zdobyć środki na utrzymanie, leczenie i rehabilitację pięćdziesięciorga pensjonariuszy, płace dla świeckiego personelu, a także funkcjonowanie trzypiętrowego obiektu, wyposażonego w windę. To zaś nie jest w warunkach ukraińskich łatwe. – Ksiądz Wiktor jeździ więc często do Polski i kwestuje w różnych firmach i instytucjach, prosząc o jakąkolwiek pomoc – mówi ks. Łutkowski. – Ma tam przydomek „ksiądz pampers, bo ten środek higieniczny na Ukrainie jest bardzo drogi i trudno dostępny, a dla starszych schorowanych ludzi niezbędny. Przywozi też z Polski rozmaite artykuły żywnościowe, różne makarony, mąki, kasze itp. Mariański „Dom Miłosierdzia" wspomaga też Caritas Polska. Regularnie pomagają też polskie parafie, na przykład pw. Odkupiciela Świata we Wrocławiu.

Do parafii ks. Łutkowskiego należy ponad tysiąc rodzin, zamieszkujących centrum Gródka. Parafia liczy około trzech i pół tysiąca wiernych. – Gródek, podobnie jak inne miejscowości na ukraińskiej prowincji, niestety się wyludnia. Ludzie wyjeżdżają w poszukiwaniu pracy do dużych ośrodków, na Zachód lub do Rosji. Młodzież mamy w parafii w zasadzie tylko do matury. Później idzie na studia i do Gródka już nie wraca. Wcale się temu nie dziwię, tu nie ma żadnych perspektyw. O znalezieniu pracy nie ma co marzyć. Rozwija się w zasadzie tylko handel, którego oferta jest adresowana do rodzin, otrzymujących pieniężne przekazy od osób pracujących za granicą. Wszystkie zakłady produkcyjne, zatrudniające dawniej tysiące ludzi, padły, a nowe nie powstały. Martwi mnie to, bo w dużej mierze może to doprowadzić do wyludnienia parafii. Zostaną w niej tylko ci, co mają pracę w budżetówce, cukrowni, mleczarni, handlu i usługach. Tych zaś jest niewielu. Na powrót tych, którzy wyjechali do pracy za granicę, też nie ma co liczyć. Znajdują tam partnerów życiowych i już nie wracają. Niektórzy przyjeżdżają do Gródka, aby tu wziąć z nimi ślub.

Wyludnienie gródeckiej parafii na razie nie grozi. Wciąż tętni ona życiem. Wystarczy zajrzeć w niedzielę, by się o tym przekonać. Odprawia się w niej wtedy pięć Mszy Świętych trzy z nich po polsku, dwie po ukraińsku. – Wcześniej wszystkie były po polsku, ale po przyjściu do Gródka postanowiłem, że będą dwie po ukraińsku – mówi ks. Łutkowski. – W miasteczku było bowiem sporo małżeństw mieszanych, w których współmałżonkowie nie znali języka polskiego i przychodząc na Mszę Świętą, nic nie rozumieli. Obecnie mogą w niej świadomie uczestniczyć. Nie obyło się bez protestów ze strony Polaków. Z czasem jednak zrozumieli, że Msze Święte po ukraińsku też są potrzebne. Nie znaczy to oczywiście, że jestem zwolennikiem ukrainizacji parafii. Zwracamy Polakom uwagę, by dbali o zachowanie swojej tożsamości. Tym bardziej, że mają ku temu więcej możliwości niż ich dziadkowie i rodzice. Jest przecież Towarzystwo,

Dom Polski, Szkoła Polska jedyna na zabruczańskiej Ukrainie i są klasy polskie w przedszkolu. Przy naszej parafii działa też biblioteka, która powstała z darów z Polski. Jest całkiem niezła i profesjonalnie prowadzona przez emerytowaną bibliotekarkę.

Na szczęście ks. Wiktor nie musi się martwić poziomem religijności swoich parafian. Pod tym względem jeszcze długo będzie ona służyła za wzór. Jeżeli ktoś uważa się w Gródku za katolika, to oczywiste jest dla niego, że musi iść na niedzielną Mszę Świętą, spowiadać się i przystępować do Komunii Świętej. Nawet ci, co w niedzielę handlują na bazarze w Chmielnickim, starają się zdążyć na ostatnią Mszę. Z myślą o nich zresztą została ona wprowadzona do parafialnego grafiku.

Wizytówką religijności parafii są powołania. Jak dotąd wyszło z niej trzynastu kapłanów i trzydzieści jeden sióstr zakonnych. Katechizacją w klasach od pierwszej do jedenastej jest objętych dwieście dzieci. Do Pierwszej Komunii Świętej przygotowuje się ponad czterdzieścioro dziewcząt i chłopców. Prężnie działa Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Rozwija się oaza, są dwa chórki: dziecięcy i młodzieżowy. – Na razie nie mnożymy liczby wspólnot młodzieżowych – mówi ks. Łutkowski. – Uważamy, że lepiej skoncentrować się na dwóch, trzech, poświęcając im dużo uwagi, niż tworzyć wiele, nie zapewniając im odpowiedniej duszpasterskiej uwagi. W naszych warunkach sprawdza się to nieźle. KSM systematycznie się rozwija i cieszy się wśród tutejszej młodzieży dużą popularnością.

Do grup dla dorosłych należy ponad tysiąc osób. Największą i najbardziej oddaną parafii, a jednocześnie najstarszą jest Wspólnota Żywego Różańca. Stanowi ona nie tylko zaplecze modlitewne parafii, ale wręcz jeden z jej filarów. Są do dyspozycji proboszcza na każde zawołanie. Pomagają przy wszelkich pracach remontowych i porządkowych. W parafii działa również Kościół Domowy, Legion Maryi, Apostolstwo Dobrej Śmierci, Franciszkański Zakon Świeckich.

Ksiądz Łutkowski patrzy optymistycznie na swoją posługę. – Jako kapłan muszę wierzyć, że obecne trudności, jakie przeżywa Gródek, są przejściowe i znajdą się jacyś inwestorzy, którzy stworzą miejsca pracy dla tutejszych mieszkańców.

Na poprawę warunków ekonomicznych w Gródku liczą też działacze tutejszego środowiska polskiego, które na zabruczańskiej Ukrainie należy niewątpliwie do najsilniejszych i najlepiej zorganizowanych. Tak twierdzi między innymi Jadwiga Gumińska, prezes działającego w Gródku Towarzystwa Dobroczynnego „Polonia". Powstało ono w Gródku Podolskim w czerwcu 1989 roku. Jest jednym z najstarszych polskich stowarzyszeń powstałych za Zbruczem. – „Polonia" obejmuje swym zasięgiem Gródek i rejon gródecki – mówi Jadwiga Gumińska. – Przyjmujemy w nasze szeregi także Polaków z innych miejscowości Obwodu Chmielnickiego, szczególnie tych potrzebujących pomocy. Jesteśmy przecież przede wszystkim stowarzyszeniem charytatywnym.

Obecnie stowarzyszenie ma niezłe warunki do działania. Przy nowej Szkole Polskiej zbudowano też „Dom Polski", w którym jego członkowie mogą się spotkać, a zespoły wokalne działające przy „Polonii" – „Tęcza", „Jaskółka" i „Jaskółeczki" – mogą przeprowadzać próby. – W naszym repertuarze są różne utwory – mówi kierownik i opiekun zespołu „Tęcza", a jednocześnie wicedyrektor Szkoły Polskiej Helena Bat-Kamracka. – Śpiewamy zarówno pieśni patriotyczne, ludowe, jak i współczesne, chętnie sięgamy po repertuar Budki Suflera czy Maryli Rodowicz. Do zespołu należy w sumie dwadzieścia pięć osób. Jak tylko absolwenci jedenastej klasy opuszczą szkołę, to na ich miejsce przyjmujemy nowych.

Towarzystwo kładzie duży nacisk także na upowszechnianie nauczania języka polskiego, od którego w dużej mierze zależy los polskości na Gródeczczyźnie. Czuwa nad tym Helena Bat-Kamracka, absolwentka studiów polonistycznych na Uniwersytecie Rzeszowskim. – O powstanie placówki zabiegaliśmy dziesięć lat. Kilkakrotnie musieliśmy udowadniać, że mamy wystarczającą liczbę dzieci do uruchomienia szkoły. Ja sama czterokrotnie zbierałam podpisy rodziców pod podaniem domagającym się otwarcia szkoły. By dopiąć swego, musieliśmy zorganizować klasy polskie w szkole ukraińskiej. W 2000 roku wreszcie udało nam się zdobyć zezwolenie na wzniesienie szkoły. Miejscowe władze wydzieliły niezbędną działkę budowlaną, a Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" przyznało niezbędne środki. W 2002 roku budynek był gotowy. Od razu udało nam się uruchomić nauczanie od pierwszej do jedenastej klasy. Do szkoły przeniosły się wszystkie polskie klasy.

Obecnie do szkoły uczęszcza czterysta dzieci. Grono nauczycielskie składa się z trzydziestu pięciu osób. Nauka w klasach od pierwszej do czwartej odbywa się po polsku. Od klasy piątej do jedenastej nauka jest prowadzona niestety w języku ukraińskim, co podważa sens istnienia placówki. Niektórzy rodzice uważają, że nie ma po co posyłać do niej swoich dzieci, skoro i tak w starszych klasach nauka odbywa się po ukraińsku. Prezes Jadwiga Gumińska interweniowała w tej sprawie wielokrotnie, ale na razie bezskutecznie. Wierzy jednak, że w końcu cały proces edukacji będzie odbywał się w ojczystym języku. Na razie udało jej się uruchomić nauczanie języka polskiego w jednym z gródeckich przedszkoli. Stało się to możliwe dzięki życzliwości mera miasta Wiktora Choptyńca, który oprócz zgody przyznał jeszcze pół etatu dla nauczycielki.

Nasze przedszkole nazywa się „Bajka" – mówi Olga Braczkowska, nauczycielka prowadząca lekcje języka polskiego. – Utworzenie dwóch grup polskich wymagało sporo zachodu i nie było łatwe. Okazało się jednak strzałem w dziesiątkę. Liczba uczniów systematycznie wzrasta i zaczyna mi brakować zeszytów dla wszystkich chętnych.

Dużą wagę Towarzystwo przywiązuje również do pomocy charytatywnej. – Wspieramy między innymi członków stowarzyszenia ofiar stalinowskich, pensjonariuszy „Domu Miłosierdzia", dzieci z rodzin wielodzietnych uczęszczających do „Szkoły Polskiej" – wylicza prezes Gumińska i dodaje, że przy towarzystwie działa jeszcze Klub Stypendystów „Semper Polonia" i Klub Kobiet Polskich. Praktycznie codziennie coś się u nas dzieje.

Choć o Gródku już dzisiaj nikt nie mówi „Mała Warszawa", to jednak wszyscy czują intuicyjnie, że tu bije serce społeczności polskiej zamieszkującej zabruczańskie Podole.

Koniec

Wizerunek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej w Wielowsi autorstwa Jana Bukowskiego

Zofia Bator
Towarzystwo Miłośników Sztuki Sakralnej Przemyśl

Oto prezentujemy Państwu coś godnego Quod Libet. Jest to skrót referatu Pani Zofii Bator, Szefowej Towarzystwa Miłośników Sztuki Sakralnej w Przemyślu. Referat powstał w związku z ujawnionym prawdopodobnym autorstwem obrazu wykonanego przez malarza krakowskiego Jana Bukowskiego w prezbiterium kaplicy Sióstr Dominikanek w Tarnobrzegu. Wobec konieczności dokonania niezbędnych, wyznaczonych warunkami wydawniczymi skrótów, wpierw oko, potem rozum, a na końcu poczucie odpowiedzialności, nakazało nam być jednak dość surowym wobec przedłożonego do operacji pacjenta. Zabieg polegał na tym, aby odrzucając skądinąd piękne i pełne uniesienia zachwyty nad dziełem, pozostawić jednak warstwę religijno-sakralną poza artystyczną oceną dzieła i pozostawić dla czytelników tę część, która wyzuta jest z subiektywnej, płynącej z głębokiej, jak widać z treści i formy referatu, religijności autorki. Słowem, zostawiliśmy w koniecznym skrócie odredakcyjnym tę część, która ukazuje opinie autorki już nie klęczącą przed obrazem.

Red.

Wizerunek z Wielowsi (obecnie dzielnicy Tarnobrzega), choć nawiązuje do popularnego schematu, jest jednak niezwykły z kilku powodów. Najpierw dlatego, że został namalowany na życzenie (czy z inspiracji) założycielki Zgromadzenia Sióstr św. Dominika - Sł. Bożej Matki Kolumby Białeckiej (1838-1887)*. Obraz znajduje się w przyklasztornej kaplicy, ale został otoczony szczególnym kultem nie tylko przez siostry, lecz również przez okoliczną ludność. Nie jest to typowy obraz ołtarzowy, tablicowy, ale namalowany na ścianie w prezbiterium kaplicy. Jego autorem, podobnie jak całej polichromii kaplicy, jest znany malarz Jan Bukowski, autor wielu dekoracji wnętrz kościelnych. Obraz powstał w 1940 roku, u schyłku życia tego artysty (zm. 1943), dlatego można go uznać za uwieńczenie jego działalności twórczej. Wyobrażenie Matki Bożej z wielowiejskiej kaplicy nawiązuje wprawdzie do tradycyjnych przedstawień Niepokalanej, jednak w swojej kompozycji posiada pewne elementy, czyniące go niezwykle oryginalnym; nie posiada też odpowiednika we wcześniejszych pracach tego malarza.



Autor wielowiejskiego wizerunku Niepokalanej - znany krakowski malarz prof. Jan Bukowski, urodził się w 1873 r. we wsi Barszczowice niedaleko Lwowa. Po śmierci ojca, wraz z matką i braćmi przeniósł się do Krakowa, później zamieszkał z rodziną w Nowym Sączu, gdzie uczęszczał do szkół, a następnie powrócił do Krakowa (1893-1900), by studiować w Szkole Sztuk Pięknych pod kierunkiem wybitnych profesorów: m.in. Wł. Łuszczkiewicza, Teodora Axentowicza, L. Wyczółkowskiego, Jana Stanisławskiego i Jacka Malczewskiego. Jeszcze podczas studiów zaczął odnosić sukcesy, otrzymał kilka nagród konkursowych i medali, odbył także podróże naukowo-artystyczne za granicę. Jako artysta tworzył w różnych dziedzinach: uprawiał akwarelę i malarstwo olejne, zajmował się projektowaniem witraży, grafiką książkową, projektował wnętrza, kilimy, meble, a nawet drobne przedmioty codziennego użytku. Był także wysoko cenionym pedagogiem, szczególnie w dziedzinie sztuki dekoracyjnej. Jako przeciwnik koncepcji „sztuka dla sztuki”, akcentował jej użytkową funkcję, zachęcając także młodzież do praktycznego podejścia do sztuki. Niezwykle ważną dziedziną twórczości Jana Bukowskiego było malarstwo ścienne, które realizował głównie w obiektach sakralnych. Większość polichromii jego autorstwa znajduje się do dziś na terenie Krakowa i Małopolski. Warto przy tym zwrócić uwagę, że w swoich realizacjach artysta zawsze postępował zgodnie z przepisami kościelnymi, szczegółowo zaznajamiał się z architekturą obiektu, by jak najlepiej dostosować do niej odpowiednie formy malarskie. Wyrazem takiej postawy jest właśnie namalowany w kaplicy SS. Dominikanek w Wielowsi obraz Niepokalanej Maryi Panny.

Postać Maryi z wielowiejskiego wizerunku nosi cechy malarstwa współczesnego, ale zarazem nawiązuje do tradycyjnych wzorców ikonograficznych *Immaculaty*. Najświętsza Panna została ukazana tu w postawie stojącej, bez Dzieciątka, na kuli ziemskiej, w złocistej mandorli. Ubrana jest w białą, obficie pofałdowaną suknię z szerokimi rękawami oraz niebieski płaszcz. Jej głowę okrywa biały welon sięgający ramion, dłonie złożone są do modlitwy, a oblicze i wzrok skierowane lekko w górę. Twarz, o delikatnych rysach ukazana w ¾, wyraża łagodność, dobroć i życzliwość. Niepokalana została tu przedstawiona zgodnie z kościelnymi zaleceniami, aby malować Ją jako piękną panienkę, tak dobrze, jak tylko może to uczynić pędzel człowieka. Tak ukazana na wielowiejskim wizerunku Matka Pana, stoi pośród nieziemskiego blasku, który otacza całą Jej postać. Charakterystyczny dla tego przedstawienia blask tworzy promienista trójbarwna mandorla w kształcie owalu, będąca umownym znakiem Bożej obecności. Mandorla przechodzi od ochry do oranżu i następnie przez zieleń do złota, a każda z tych barw posiada swoje wymowne znaczenie.



Wewnętrzne światło, rozświetlające Jej postać, złoty nimb nad głową oraz promienista mandorla, wskazują na stan przebóstwienia i przebywania z Bogiem. Płonąc w tym wizerunku niebiańskim światłem, na podobieństwo pochodni, przyświeca nam „jako znak pewnej nadziei i pociechy” (LG 64), jaśniejąc dla całego Kościoła jako zapowiedź przyszłej chwały. Jej modlitewna postawa oraz zwrócenie twarzy w ¾, wskazuje na funkcję Orędowniczki. Dostąpiwszy bowiem wywyższenia w niebie, nie zaprzestaje swojej macierzyńskiej opieki względem ludzi. Cała zatopiona w Bogu i z Nim zjednoczona, nadal jest obecna w tajemnicy Kościoła, czego szczególnym znakiem jest wielowiejski wizerunek.

Tekst referatu został wygłoszony podczas spotkania Studium Sztuki Sakralnej w Przemyślu 4 grudnia 2011 r. Powyższa tematyka szerzej została opracowana w artykule: Z. Bator, *Teologiczna Interpretacja wizerunku Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej z kaplicy Sióstr Dominikanek w Tarnobrzegu-Wielowsi,* „Salvatoris Mater” 11(2009) nr 3, 301-316.

---

* Matka Kolumba Białecka urodziła się w Jaśniszczach na Podolu (niedaleko Podkarmienia) i jest obecnie kandydatką na ołtarze. Jej relikwie spoczywają w jej kaplicy w domu macierzystym w Wielowsi.

EPOKA ŻELAZA W EUROPIE

Michał Tadeusz K o z e r a

W serii artykułów poznajemy kolejne etapy rozwoju wykorzystania żelaza w Europie. Byli już Etruskowie, Celtowie i Scytowie. Teraz czas na skróconą wersję dziejów rozwoju starożytnego Rzymu i potęg handlowych (Fenicja, kolonie greckie). Zatem – część III

RZYMIANIE, RZYMIANIE...

Dużą, kolejną potęgą w Europie był Rzym (od IV wieku p.n.e.). Jego wielka ekspansja rozpoczęła się od zajęcia kolonii greckich (między początkiem III wieku p.n.e. po 272 rok p.n.e.).

<<< >>>

Te ostatnie były rozlokowane wzdłuż prawie całych wybrzeży Morza Śródziemnego, głównie od strony Europy (patrz rys. nr 1). Liczne kolonie były także wzdłuż wybrzeży Morza Czarnego. Każda z kolonii tworzyła odrębne miasto i podlegała odrębnemu miastu-państwu we właściwej Grecji (na przykład Atenom, Sparcie czy innym). To oczywiście czasami prowadziło do konfliktów i wzajemnych wojen.

Kontakty między miastami-koloniami a właściwą Grecją (z centrum na półwyspie Peloponez – dla przypomnienia) zapewniały oczywiście statki. Od strony Afryki kolonie greckie były rozlokowane w delcie Nilu i w rejonie dzisiejszej Bengazji i znanego obecnie Tobruku. Najwięcej jednak było miast-kolonii wzdłuż północnych wybrzeży Morza Śródziemnego. Równie dużo było takich kolonii wzdłuż wybrzeży Morza Czarnego.

Nie była to jednak jedyna potęga morska w tamtym czasie.

Przypomnijmy, że część wybrzeży Morza Śródziemnego – szczególnie na odcinku dzisiejszego Maroka, Tunezji, Libii zachodniej, południowej Hiszpanii, Sardynii i częściowo Sycylii – były w strefie wpływów Fenicji (dzisiaj nie istnieje – kiedyś znajdowało się na styku dzisiejszego Libanu i Syrii – przyp. M.K.).

Potęga ta pojawiła się już 3000 lat p.n.e. Był to zespól miast-państw. Tu produkowano luksusowe artykuły na eksport: szkło, wyroby z metali i kości słoniowej, barwione tkaniny (sławna purpura fenicka), statki z cedrów libańskich i inne. Handlowano różnymi metalami. Zakładali liczne faktorie handlowe na wybrzeżach Morza Śródziemnego: w Afryce (z najsławniejszą Kartaginą), w południowej Hiszpanii, na Cyprze, Malcie, Sycylii i Sardynii. Byli świetnymi żeglarzami. W IX wieku p.n.e. dotarli na Wyspy Kanaryjskie i Maderę, a na początku VI wieku p.n.e. opłynęli Afrykę dookoła. Około 525 roku p.n.e. podjęli wyprawę wzdłuż wybrzeży Europy i najprawdopodobniej dotarli do ówczesnej Anglii. Jej świetność trwała do 677 roku p.n.e., kiedy Asyria zniszczyła większość miast-państw, a potem powtórzyli to ponownie Babilończycy w 586 roku p.n.e. Od 538 roku p.n.e. stała się częścią Persji. Od 64 roku p.n.e. stała się częścią Rzymu, a od 395 n.e. stała się częścią Bizancjum. Od VII wieku n.e. zawładnęli nią Arabowie.

W czasach perskich do terenu Fenicji doprowadzono szlak jedwabny (114 rok p.n.e.). Stąd docierały potem towary do całej Europy, chociaż głównie do republiki rzymskiej, potem cesarstwa rzymskiego, a potem do Bizancjum.

Tu podajmy ciekawostkę. Najstarszy język grecki pochodzi z języka fenickiego, chociaż Greków zalicza się do narodów indoeuropejskich. Tak jak język fenicki język grecki był pierwotnie zapisywany od prawej do lewej, potem przez krótki okres naprzemiennie (od prawej do lewej, a w kolejnym wierszu od lewej do prawej, aby w następnym okresie od prawej do lewej). Jest to tym ciekawsze, że archeolodzy uważają Greków jako lud, który przywędrował na Peloponez od północy, gdzieś z rejonu Dunaju (a może wcześniej gdzieś z Azji? Z okolic Fenicji? – sugestia moja).

Sami Grecy zajęli tereny starszej, rodzimej kultury archeologicznej – znanej pod nazwą egejska. Zajmowała ona Peloponez, Kretę i wybrzeża Azji Mniejszej. Jej kres położył wybuch wulkanu na wyspie Thera w 1538 roku p.n.e. (jak wskazali ostatnio badacze). Jego wybuch był tak wielki, że popioły nie tylko pokryły grubą warstwą obszary zajmowane przez tę kulturę (pumeks grubości co najmniej kilku metrów), ale także dotarły

do delty Nilu (patrz rys. nr 1). Co prawda niektórzy sądzą, że po wybuchu jednak część ludności ocalała i stworzyła jeszcze tak zwaną kulturę minojską (znaną z budowli wykonywanych z wielkich głazów, których budowę potem przypisywano gigantom. Sądzę, że w ten sposób próbowano raczej przeciwstawić się ewentualnemu, kolejnemu wybuchowi wulkanu. Duże głazy trudniej jest przemieścić, a ich duża wysokość miała zapobiec ewentualnemu zasypaniu przez lawę czy fali wodnej znanej pod nazwą tsunami). Ale ta kultura archeologiczna również upadła – pod naporem ataku Greków – Achajów. Około 1200 lat p.n.e.

<<< >>>

Po sąsiedzku rozwijały się kultury na terenie przyszłego Rzymu. Przypomnijmy tu szczególnie Etrusków. Pojawili się około 800 roku przed naszą erą (może to jakieś pozostałości po ludach z kultury minojskiej lub egipskiej – patrz część I we wcześniejszym numerze Quod libet?). Tu dotrwali do około 475 roku p.n.e. Potem gdzieś wywędrowali – pod wpływem ataków plemion związanych z Rzymem. Badania archeologiczne wskazują, że ruszyli na północ. Jedna grupa osiedliła się w dorzeczu Łaby i Soławy, a druga nad dolną Wisłą, przy ujściu rzeki do Morza Bałtyckiego, po jego zachodniej stronie. Wskazują na to charakterystyczne urny pogrze-



bowe w formie małych domków lub z wyobrażeniem schematycznym twarzy ludzkiej w górnej części naczyń pogrzebowych.

To dało nam podstawę do wskazania, że między późniejszym Rzymem (a może wcześniej koloniami greckimi, nad północnym wybrzeżem Morza Adriatyckiego) istniał szlak handlowy do Morza Bałtyckiego. Szlak ten miał odgałęzienie w rejonie dzisiejszego Ołomuńca do Łaby i nad wybrzeże Morza Północnego. Pisałem o tym w części I.

Z jednej strony (od Morza Bałtyckiego) wędrował bursztyn (zwany także z niemiecka jantarem), który był pozyskiwany miedzy innymi na terenie dzisiejszych Mazur. Z drugiego kierunku przybywały wyroby ceramiczne, wyroby z brązu i inne. Z tego kierunku przybywały również muszle kauri odnalezione nad Bałtykiem, w tamtejszych grobowcach – jako wyposażenie zmarłych na drogę pośmiertną. Muszle te kupcy greccy przywozili najprawdopodobniej na swoich statkach z kolonii położonych w delcie Nilu (a dokładniej z sąsiadującego z nimi Morza Czerwonego). Przypomnijmy również, że z kolei bursztyn znaleziono w grobowcach kultury minojskiej (która została zniszczona w 1200 roku p.n.e. – dla przypomnienia). I był to bursztyn występujący w tej odmianie tylko nad Bałtykiem.

Nie wiem, co przywożono z nad Morza Północnego, do którego wpada Łaba. A może w końcowym odcinku szlak skręcał na północ, gdzieś koło dzisiejszej Lubeki. Stamtąd prowadził także nad Morze Bałtyckie. Tyle tylko, że do Półwyspu Jutlandzkiego i do dzisiejszej południowej Szwecji – centrum obszarów zasiedlonych przez Germanów. Wszak tu także są duże złoża rudy żelaza i to wysokoprocentowej. Etruskowie osiedlając się nad Salą i Łabą przywieźli zapewne ze sobą technologię pozyskiwania dobrego żelaza, najprawdopodobniej w technologii kucia. Nie mogli się jednak osiedlić bardziej na północy, bo te tereny już były zasiedlone przez Germanów (co najmniej od X wieku p.n.e.).

Istnieje jeszcze jedna możliwość. Archeolodzy uważają, że Etruskowie mogli być protoplastami Celtów. Tych, którzy pozyskiwali żelazo z kopalni położonych na Wyżynie Bawarskiej. Tak także pozyskiwano sól kamienną. A może to jednak sól kamienna była głównym celem handlu, a nie żelazo? A może jeszcze jakiś inny minerał?

Czekam na dalsze ustalenia archeologów.

<<< >>>

Przyjmuje się, że Rzym zaczął się rozwijać od około IV wieku p.n.e. Rozwój swej potęgi rozpoczął od zdobycia kolonii greckich, o czym wspomniałem wcześniej (do 272 roku p.n.e.). Potem powstała republika (patrz rys. nr 5). Zajęła ona teren dzisiejszej Italii (Włoch – jak kto woli) – wraz z dorzeczem rzeki Pad odbitej Celtom w 218 roku p.n.e. – wyspę Korsykę, Sardynię i Sycylię (te ostatnie zajęto do 201 roku p.n.e.), (rys. nr 5, obszar oznaczony **A**).

W czasach republiki (201 p.n.e. do 44 p.n.e.) przyłączono jeszcze teren dzisiejszej Francji i Hiszpanii, Portugalii, północne wybrzeże Afryki (na odcinku od Tunezji po Libię), zachodnią część Azji Mniejszej, zachodnie wybrzeże Morza Adriatyckiego (tereny oznaczone **B**).

Dalsze tereny zajmowano już w okresie Cesarstwa Rzymskiego, głównie w czasach Oktawiana (30 p.n.e. do 14 n.e.). Są to miedzy innymi: Kraj Basków, Galacja i sąsiednie krainy nad rzeką Kizył Irmak, część wybrzeży Morza Czarnego – szczególnie w części północno-wschodniej i Egipt (tereny oznaczone **C**).

Ostatnie zdobycze pochodzą z I i II wieku n.e. To teren dzisiejszej Wielkiej Brytanii (bez Szkocji i bez Irlandii), wybrzeże dzisiejszego Maroka, Bałkany, Siedmiogród i północne wybrzeże Morza Czarnego oraz teren położony pomiędzy Renem a Dunajem. Na tym ostatnim terenie wybudowano nawet potężny wał ziemny do ochrony przez atakami Germanów, który zachował się do naszych czasów. Poza rzeką Dunajem zajęto tylko teren Siedmiogrodu, gdzie wiedziano o dużych zasobach różnych metali – chociażby złota czy srebra. A te były stale potrzebne wielkiemu mocarstwu (tereny oznaczone **D**).

Ostatecznie granicę północną Cesarstwa Rzymskiego wyznaczyły rzeki: Dunaj i Ren. Za tą granicą mieszkały plemiona „barbarzyńskie” – głównie Germanie.

Tak rozległe państwo nie mogło utrzymać się zbyt długo. I rzeczywiście. Założenie Konstantynopola – w 330 roku n.e. oraz cały szereg innych czynników spowodowały podział cesarstwa na dwa segmenty: zachodni i wschodni. Stało się to w 395 roku n.e. Przy czym cesarstwo zachodnie przetrwało do 476 roku n.e., a wschodnie do 1453 roku – z mniejszym lub większym zasięgiem terytorialnym.

Na upadek cesarstwa zachodniorzymskiego miał wpływ atak Hunów i niektórych plemion germańskich.

<<< >>>

Należy tu przypomnieć, że na wschód od Renu i na północ od Dunaju rozłożyły się liczne plemiona germańskie. Od wschodu sięgały one swym zasięgiem do dolnej Wisły, Bugu i najprawdopodobniej do rzeki Don (a przynajmniej do rzeki Dniestr). Brak jest tu jednak jednoznacznego stanowiska archeologów. Czy archeologiczna kultura zarubiniecka była jeszcze germańską? A może innego ludu – na przykład Sarmatów? Bo na pewno nie była słowiańską. Ale o tym w dalszej części. Nad górną Odrą i górną Wisłą ocalała najprawdopodobniej struktura państwowa celtycka. A może to Celtowie rozprzestrzenili się na inne, sąsiednie tereny?

Sprawę trochę porządkuje mapa Europy, którą przygotował Klaudiusz Ptolemeusz. Żył on w latach 100-168 n.e., jednak jego mapa została opublikowana pod koniec XV wieku. W kilku wydaniach (patrz rys. nr 4).

Jej uproszczona wersję naniosłem na współczesną mapę podając za autorem nazwy, które na niej zaznaczył. Nie jest ona doskonała, ale daje wiele do myślenia.

Wynika z niej, że tereny na



północ od rzeki Dunaj to obszary Wielkiej Germanii. A dokładniej na północ od Sudetów. Jest wymieniona rzeka Wisła. Obecna Zatoka Gdańska nosi nazwę Zatoki Wenedzkiej (od nazwy germańskiego plemienia, które potem osiedliło się w dorzeczu rzeki Bug i Boh – przyp. M.K.). Na wschód od Karpat tereny północnego wybrzeża Morza Czarnego i Morza Kaspijskiego są zajęte przez plemiona sarmackie, a od rzeki Wołgi na wschód rozlokowane są plemiona Scytów – po obu stronach gór Ural. Jako ciekawostkę należy dodać, że ówczesna granica Europy biegła wzdłuż rzeki Don i rzeki Wołga (dzisiaj przyjmuje się góry Ural jako graniczne – przyp. M.K.).

I chociaż Klaudiusz Ptolemeusz tak narysował tę mapę, to w części opisowej wymienia dodatkową informację. Nad rzeką Kamą i Wołgą mieszka plemię Słowian. I jest to pierwsza, pewna wzmianka o Słowianach. Tyle tylko, że na mapie ten teren jest opisany jako pozostający pod władaniem Scytów. Można to zinterpretować dwojako. Albo Słowianie są plemieniem scytyjskim, albo są plemieniem pozostającym w zależności od Scytów. Ta druga wersja bardziej mi odpowiada. Wydaje się bardziej prawdopodobna, Chociaż ostatnie zdanie należy zostawić archeologom. Jeszcze tego terenu nie przebadali.

Na dodatek pamiętajmy, że wówczas tereny nad Wołgą i Kamą leżały w Azji!!!

<<< >>>

W wyniku wojen markomańskich (między Germanami a Rzymem) kraje po obu stronach Dunaju znalazły się w stanie wojny. Uległ wówczas przerwaniu szlak handlowy łączący Rzym z Truso (miasto nad Bałtykiem, koło ujścia Wisły do Morza Bałtyckiego. To tędy dawniej docierały bursztyny (i zapewne niewolnicy) do Rzymu, a z Rzymu różne wyroby sztuki (garnki, misy itp.). Czyli używając starszej nazwy – przerwano „szlak bursztynowy". Stało się to w II wieku n.e.

Dlatego zaistniała potrzeba wytyczenia nowego „szlaku bursztynowego". Udało się to Germanom zapewne dość szybko. Wytyczyli oni nowy szlak – od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego. Biegł on wzdłuż dolnej Wisły, potem wzdłuż rzeki Bug i rzeki Boh. Zbieżność nazw tych dwóch ostatnich rzek nie jest przypadkowa. Zapewne w wersji niemieckiej obie nazywały się Bug. Tylko potem pod wpływem Słowian nazwy dostosowano do lokalnych języków słowiańskich.

Nowy szlak wytyczono w II wieku n.e.!!! Dotrwał on przynajmniej do najazdu Hunów w 375 roku. A może jeszcze dłużej? Wszak monety Bizantyjskie na nasze obecne ziemie docierały pomiędzy II a IV wiekiem n.e., a arabskie nawet od V do VI wieku. Przy czym w rękach Germanów szlak ten utrzymał się tylko do połowy V wieku. Potem wędrują nad Morze Czarne i dalej, na zachód Europy – do Hiszpanii. Z kolei archeolodzy wskazują na istnienie na tym obszarze pustki osadniczej od połowy V wieku. Nie wiemy jak długo. Może na brak osadnictwa miała także wpływ epidemia dżumy z 542 roku? Dokonała ona spustoszeń – między innymi w Konstantynopolu (obecnie Stambuł).

Jednym z istotnych elementów rozwoju Europy w tamtym czasie był tak zwany „jedwabny szlak", chociaż jego cała trasa biegła po terenie Azji. Nazwa powstała z powodu przewożenia nim jednego z najcenniejszych w tamtym czasie artykułu, jakim był jedwab. Towaru najbardziej poszukiwanego, wręcz bezcennego, o utajnionej procedurze produkcji. Dodajmy, że do dzisiaj jedwab naturalny (zdążono już współcześnie wynaleźć jedwab sztuczny) jest pożądany przez wiele kobiet – tyle że już na całym świecie – nie tylko w Europie i Azji.

Oczywiście – tym szlakiem nie wożono tylko jedwabiu. Docierała również do Orientu piękna ceramika, a w zamian wywożono do Chin głównie przyprawy. Interes był opłacalny dla obu stron. Szlak ten formalnie kończył się nad Morzem Śródziemnym, ale dalej towary przejmowali inni kupcy, zapewne europejscy. Korzystali głównie ze szlaków wodnych (Morze Śródziemne, Morze Czarne) i zapewne szlaków rzecznych (Dunaj, Bug z Bohem, szlak bursztynowy itp.).

<<< >>>

Przybliżmy trochę historię tego *szlaku jedwabnego*. Jego wytyczenie przypisuje się chińskiemu podróżnikowi Czang Cien. Rozpoczął on podróż po Azji w 138 roku p.n.e., a zakończył w 114 roku p.n.e. Zapewne wyprawa trwałaby krócej, ale w latach 126-115 p.n.e. przebywał w niewoli u Hunów i cudem udało mu się wrócić do Chin.

Informacja ta jest tym cenniejsza, że wspomina o Hunach. A to może oznaczać, że droga na zachód, do Europy mogła im być znana dużo wcześniej niż ich późniejsza wyprawa z 317 roku n.e. (jakieś 450 lat wcześniej!!!). Tyle, że woleli oni łupić Chiny – bo były bliżej – niż ruszać na bardzo daleką wyprawę z niepewnymi zyskami. Nie zapominajmy również, że szlak „jedwabny" nie prowadził do

Europy, ale do Azji Mniejszej – przez bogate tereny Mezopotamii i Persji (dzisiaj Iranu).

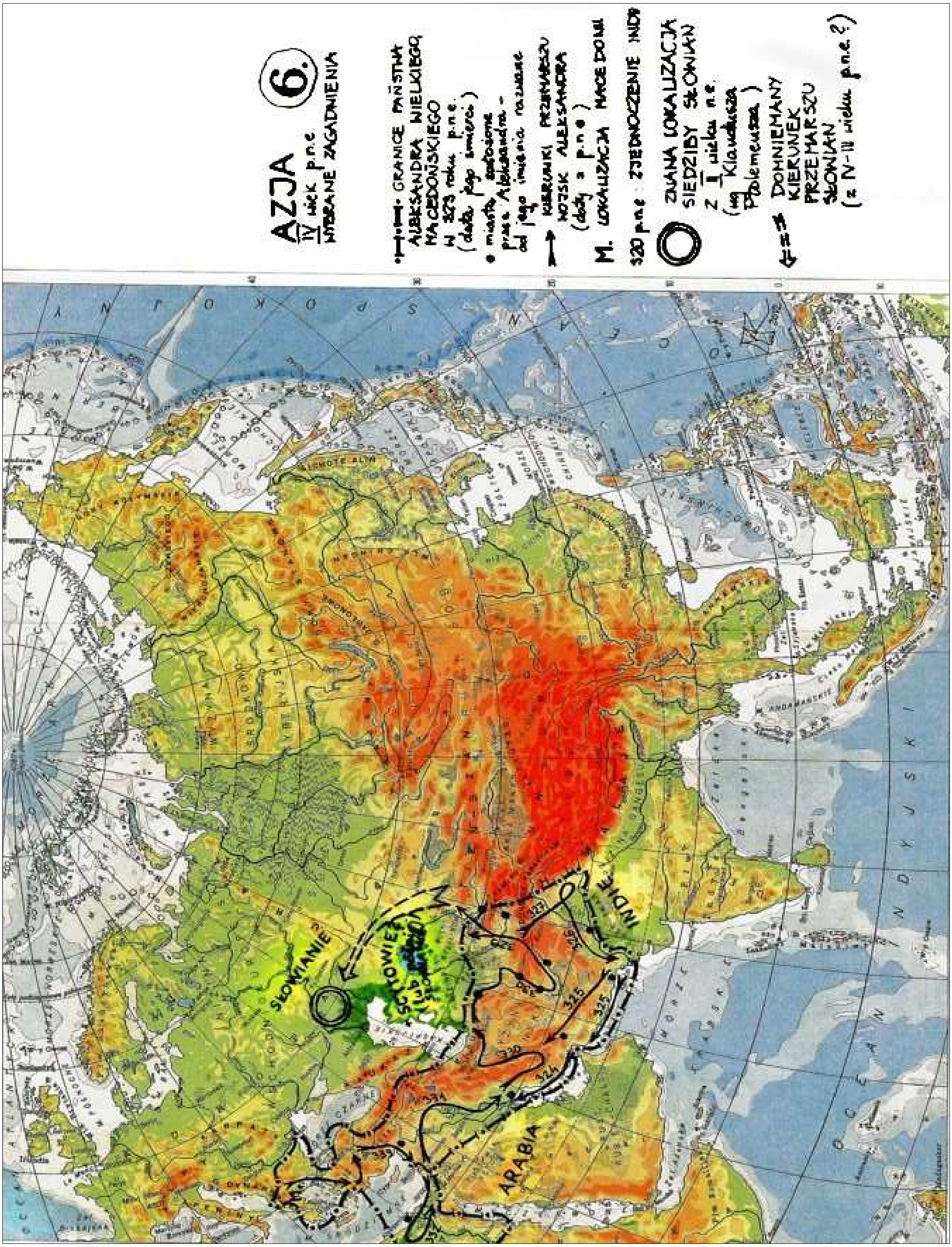
Szlak ten utrzymał się bardzo długo. Jego zamknięcie przypada na 907 rok n.e. Upadł zapewne pod wpływem najazdu Turków, którzy nie byli zainteresowani kontaktami z dalekimi Chinami.

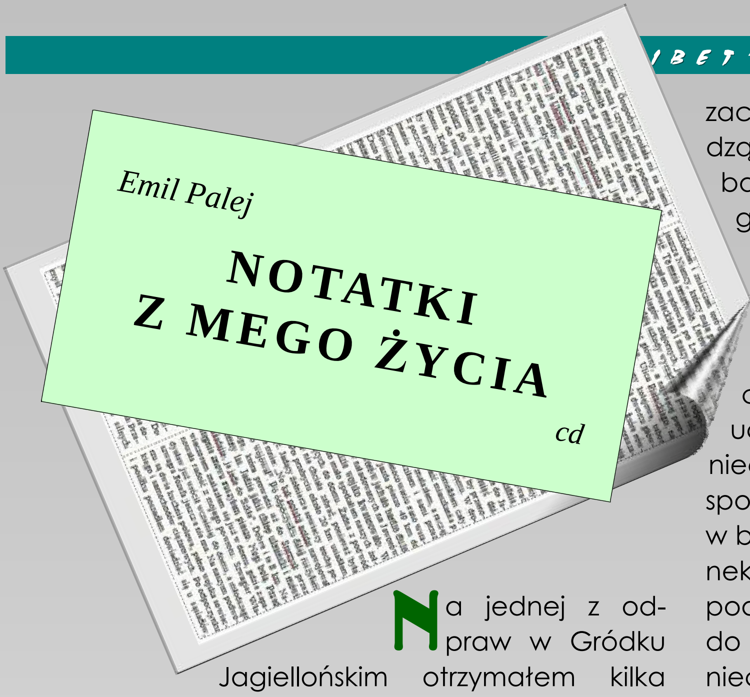
c.d.n.

PS*. **Zatem mamy pierwszą informację o Słowianach. Mieszkają oni jeszcze w Azji (według ówczesnej granicy między Europą a Azją – przyp. M.K.). Brak jednak danych skąd przybyli i dokąd będą zmierzać. Ale o tym w następnych częściach.***

W kolejnym odcinku: najazd Hunów, Awarów, Arabów.

Kraków, styczeń 2012 roku





Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

cd

Na jednej z odpraw w Gródku Jagiellońskim otrzymałem kilka tysięcy złotych na kupno broni i amunicji. Same nowe banknoty po 500 złotych, które kazano pobrudzić, zmiąć, by wyglądały na używane.

Początek października 1943 roku – znowu giną Polacy w powiecie jaworowskim. We wsi Drohomyśl (1/5 mieszkańców to Polacy), w nieczynnej polskiej szkole żył nauczyciel (jego nazwiska nie pamiętam) wraz z żoną Marią (z domu Konieczna) i małym dzieckiem. Razem z nimi mieszkała młoda nauczycielka (nazwiska nie znam). W tym czasie brat Marii Koniecznej, także z zawodu nauczyciel, przybył z Jaworowa, ażeby pomóc im popakować się i furmankami przyjechać do rodziców w Jaworowie, którzy mieszkali blisko Stanisława Krasickiego. Kazimierz Konieczny i jego szwagier należeli do konspiracji. Mieli przy sobie krótką broń i parę granatów. W nocy banderowcy napadli na polską szkołę, rzucając granat do pokoju, w którym były obydwie kobiety i dziecko. W drugim pokoju siedzieli obydwaj mężczyźni, tj. Kazimierz Konieczny i jego szwagier. Od razu zorientowali się, że to jest napad. Banderowcy najpierw dobijali się do drzwi, które były zamknięte, a dopiero później jak im nie otworzono, rzucili granat. Po wybuchu granatu obydwaj mężczyźni zorientowali się, że kobiety i dziecko już nie żyją i muszą sami siebie bronić. Uciekli na strych, wciągając za sobą drabinę. Banderowcy oświetlili dom latarkami, rozwalili drzwi i dobili konające kobiety oraz dziecko. Przypuszczali, że mężczyźni skryli się na strychu; kazali im zejść. W tym czasie obrońcy rzucili parę granatów (jak mi wiadomo, kilku napastników zostało zabitych, a kilku zostało rannych). Banderowcy uciekli z budynku – otoczyli dom i strzelali przez dach na strych. Dachówka rozlatywała się, spadając na obu mężczyzn, którzy położyli się na strychu czekając na śmierć. Po tej krótkiej strzelaninie banderowcy zaczęli wdzierać się na strych. Obrońcom pozostał tylko jeszcze jeden granat i parę naboi do pistoletu. Na szczęście, na strychu koło komina znajdowała się złożona cegła i puste butelki. Obrońcy zaczęli z góry rzucać cegłę i butelki na podchodzących po drabinie banderowców. Widocznie banderowcy myśleli, że mężczyźni już nie mają granatów ani amunicji, podeszli większą grupą i wtedy Konieczny rzucił ostatni granat, zaś jego szwagier oddał kilka strzałów do banderowców, którzy znowu ponieśli straty i wycofali się na pewną odległość. Obrońcy w ostatniej chwili zeskoczyli ze strychu i resztkami sił zaczęli uciekać w pole. Po paru metrach Kazimierz Konieczny poczuł, że boli go udo i zobaczył krew na spodniach – został ranny. Mężczyźni podeszli w bezpieczne miejsce, gdzie z koszuli zrobili opatrunek. W tym czasie zauważyli łunę – to banderowcy podpalili szkołę. Rano zupełnie wykończeni przybyli do Jaworowa. Po południu tegoż dnia stary Konieczny w asyście Niemców (którzy dostali większą łapówkę), na prośbę usilną całej rodziny przywiózł częściowo zwęglone zwłoki córki, wnuczki i koleżanki córki. W Jaworowie powstało przygnębienie wśród Polaków i nawet wśród niektórych Ukraińców. Po tym morderstwie wysłałem meldunek do Lwowa lub Gródka Jagiellońskiego (nie pamiętam), skąd otrzymałem rozkaz, ażeby wszystko nauczycielstwo z wiosek ukraińskich wyjechało do miasta oraz aby wzmóc czujność i samoobronę. W tym napadzie banda ukraińska poniosła duże straty, ilu było zabitych nie zdołano jednak dowiedzieć się. Natomiast rannych mieli ponad dziesięciu. Wiadomo to stąd, że dr Anastazy Kusznir jeździł każdego dnia do Drohomyśla celem leczenia rannych banderowców, a lżej ranni sami przyjeżdżali do niego, gdzie leczyli się prywatnie. Po tym napadzie były oficer zawodowy kawalerii, słynny jeździec Bolesław (lub Władysław) Szenk opuścił folwark hr. Czosnowskiej (4–5 km od Ożomli w kierunku na Jaworów) i przeniósł się do Jaworowa wraz z rodziną, na co otrzymał zezwolenie władz niemieckich. Jak już podałem, Szenk pracował na folwarku jako zarządca. Jedyny syn jego, siedemnasto-osiemnastoletni Zbigniew został wciągnięty do konspiracji i znalazł się w I-szym plutonie. Był to bardzo energiczny i odważny chłopak. Stanisław Krasicki, znając go, dał mu pieniądze z Polskiego Komitetu Opiekuńczego, ażeby zawiózł je do Krakowca (18 km) od Jaworowa i oddał jakiejś poszkodowanej rodzinie polskiej. Zbyszek własnym rowerem sportowym pojechał z pieniędzmi do Krakowca. W połowie drogi, w lesie, chłopak został zamordowany i zakopany prawdopodobnie na miejscu morderstwa. Pieniądze zabrano, zaś rower był w pobliskich krzakach. Zbyszek miał dwie dziury w głowie od pocisków i zmasakrowaną głowę. Kiedy chłopak nie wrócił do domu, Szenków ogarnęła rozpacz. Rodzice przypuszczali, że syn już nie żyje. Stanisław Krasicki postanowił szukać Zbyszka. W tym celu mój zastępca „Zryw” (Jan Stawidło) zorganizował ludzi. Kierownik elektrowni

(rozdzielnia) Stanisław Seko dał samochód ciężarowy do dyspozycji. Prócz kierowcy tym samochodem pojechali: Adam Bereś (obecnie pracuje w Rzeszowie – Wydział Finansowy), Adam Lindarski (rolnik) oraz bracia Czesław i Zbigniew Pilarek. Wszyscy mieli broń krótką. Cała ta grupa jechała z Jaworowa do Krakowca, tj. 18 km. Po przejechaniu około 10 km zauważono w lesie samochód niemiecki. Z rowów wyskoczyło kilkunastu niemieckich policjantów z bronią w ręku. Była to już druga wsypa. Wszyscy siedzący w samochodzie od razu zorientowali się, że wpadli w zasadzkę. Momentalnie ukryli swoje pistolety pod słomą rozrzuconą w samochodzie, zaś ci dwaj, którzy siedzieli w kabinie, schowali broń pod siedzeniem. Niemcy kazali wszystkim zejść z samochodu i trzymać ręce do góry. Przeprowadzili rewizję osobistą, ale nic nie znaleźli. Na zapytanie, prawdopodobnie dowódcy tego oddziału, gdzie jadą i po co, kierowca, który znał bardzo dobrze język niemiecki odpowiedział, że jadą do Wielkich Oczu (8 km na zachód od Krakowca) kupić artykuły żywnościowe u rolników. W tym czasie jeden z policjantów wylazł na pakę samochodu i butem przetrząsał słomę. Natrafił na pistolet, podniósł go, pokazując wszystkim. Zaczęli dokładnie przetrząsać słomę i znaleźli wszystkie pistolety, też w szoferce. Wszystkich przewieziono do więzienia w Jaworowie. (Dla orientacji podaję, że w Jaworowie znajduje się więzienie zbudowane jeszcze za czasów króla Sobieskiego i prawdopodobnie jeszcze do dzisiaj rośnie historyczna lipa, pod którą król Jan III Sobieski tańczył z Kowalową). Wiadomość o aresztowaniu Polaków rozeszła się natychmiast po całym Jaworowie i okolicy. Ukraińcy zaczęli się cieszyć, że Niemcy wykryli organizację polską. Wśród Polaków powstał wielki strach. Dano mi znać do Ożomli, ażebym natychmiast przybył do Jaworowa. W Jaworowie spotkałem się ze „Zrywem"; powiedział mi o wsypie i że siedzą w więzieniu, i kto. Ja i mój zastępca „Zryw", który zorganizował ten wyjazd, byliśmy bardzo podenerwowani. Spodziewaliśmy się większej wsypy, a to dlatego, że Niemcy zastosują tortury i może któryś załamać się i wsypać innych. O Linderskiego nie obawialiśmy się, ponieważ to człowiek pewny i nic nie wyjawi. Zrobiłem wymówkę zastępcy, że to jest jego wina, że mógł zdradzić kierowca, który pracował u majora – dyrektora Liegenschaftu. Skontaktowałem się z resztą członków tak zwanego sztabu i postanowiliśmy, że mój zastępca i równocześnie dowódca plutonu mają natychmiast skryć się dobrze i w końcu wiać. Jesteśmy przygotowani na wszystko. Wieczorem napisałem o całym zajściu meldunek, z którym kurierka pojechała do Lwowa. W czasie natychmiastowego śledztwa, które przeprowadzała Powiatowa Komenda Policji niemieckiej (Austriacy), żaden z uwięzionych nie przyznał się, że należy do organizacji podziemnej, natomiast przyznali się, iż jechali szukać syna kierownika folwarku, a broń mieli do obrony przed Ukraińcami. Tej samej nocy major, dyrektor Liegenschaftu[1], powrócił z urlopu, zabrał swego kierowcę i już rano widziano go jak z nim jechał. Na drugi dzień wypuszczono jeszcze trzech, którzy poszli do swojej pracy, zaś pozostałych wypuszczono na trzeci dzień. Nie wiem, co to miało znaczyć, że Adamowi Beresiowi policja niemiecka poleciła natychmiast opuścić powiat jaworowski, co też uczynił. Jak się zorientowaliśmy, na terenie powiatu jaworowskiego istniała silna organizacja podziemna ukraińska, która nas śledziła i to oni dali znać Niemcom. Stanisław Krasicki i Edward Szpilka robili wszystko, ażeby odnaleźć zaginionego Zbyszka. Kupiono świniaka i Szpilka dał go Niemcowi – komendantowi policji. Szenk, tj. ojciec Zbyszka, otrzymał ochronę ze strony niemieckich policjantów. Pracownicy Liegenschaftu znaleźli w lesie, niedaleko szosy, zwłoki i rower Zbyszka. Szenk po pogrzebie syna, wracając furmanką z pracy z Ożomli, został ostrzelany z ukrycia w lesie. Nic mu się nie stało, natomiast koń był raniony pociskiem w szyję. Po tym wypadku Szenk jeszcze parę razy jeździł do pracy w asyście Niemców i w końcu wyjechał do Krakowa. Jak się później okazało, Szenk również został wciągnięty przez lekarza Fedorowskiego do konspiracji.

W tym czasie łączność z dowódcami plutonów w Krakowcu i Wielkich Oczach była coraz bardziej niebezpieczna. Dowódcy plutonów tylko raz w tygodniu przyjeżdżali do Jaworowa – i to w dzień targowy, kiedy masa furmanek chłopskich jechała na targ. Ja również przyjeżdżałem do Jaworowa tylko w dzień targowy – z obawy o swoje życie. Folksdojcze z ZSRR, którzy pracowali w Ożomli, otrzymali broń: karabiny, automaty, granaty i jeden karabin maszynowy. Sołtys (Siedlungsführer) był Austriakiem, inwalidą, ćwiczył ich w użyciu tej broni. Jednego razu zapytałem, po co im potrzebna broń, kiedy ci mężczyźni są już starzy i niezdolni do służby wojskowej. Odpowiedział, że to do obrony w razie napadu ze strony band, ale nie powiedział jakich. To porządny człowiek; sprowadził swoją żonę, która żyła w dobrej komitywie z moją żoną. Było mi to na rękę, ponieważ kilka razy otrzymałem przepustkę do Lwowa, niby w sprawach służbowych. W tym czasie, z obawy o swoje życie, wszystko nauczycielstwo polskie z wiosek ściągnęło do Jaworowa i ulokowało się kątem u Polaków. Wydałem plutonom polecenie większej czujności i ostrożności. W tym miesiącu dowódca plutonu

[1] Liegenschaft (*niem.* nieruchomość) tutaj: duża nieruchomość rolna, folwark

Krakowiec na odprawie w Jaworowie oznajmił, że tak w Krakowcu jak i w Wielkich Oczach zauważono obcych ludzi, którzy przebywają u Ukraińców. Wieczorami gdzieś wychodzą i że na pewno są to Ukraińcy z bandy; prawdopodobnie gdzieś się koncentrują. To samo zgłosili dowódcy drużyn w Gnojnicach i Woli Gnojnickiej. Antoś Głaba (pseudonim Biały) proponuje mi, ażeby zwolnić jego żonę (pseudonim Julia) z funkcji kurierki, ponieważ ludzie mówią, że często jeździ paskować[2] do Gródka Jagiellońskiego. Zaproponowałem, aby była kurierką, nauczycielce Bronisławie Stelmachowej, która mieszka w szkole w Ożomli, gdzie mam punkt weterynaryjny i mieszkam z rodziną. Bronka bardzo chętnie się zgodziła. Do tej pory co tygodnia jeździła z żywnością do matki we Lwowie. Bronka orientowała się, że jestem w konspiracji. Bardzo dobrze wywiązywała się ze swoich zadań jako kurierka. Obecnie mieszka i uczy w szkole w Jeleniej Górze.

Pracy w punkcie weterynaryjnym mam dużo, a najwięcej u folksdojczów. Bydło choruje, zwłaszcza konie, z powodu złego karmienia i złej paszy; robię co mogę. W końcu udaje mi się wyleczyć zwierzęta. Folksdojcze darzą mnie poważaniem. Bardzo dobrze żyję z jedną rodziną. Mają radio na baterie i słuchamy w tajemnicy dzienników z Moskwy, a ja również z Londynu. Każdego wieczoru przychodziłem do nich na herbatę i słuchanie muzyki – ich córki pięknie grały na bałałajce i gitarze. W końcu moja żona mówiła mi, że coś mnie łączy z folksdojczką. W tym czasie Niemcy pchają na wschód bardzo liczne transporty wojsk i broni oraz czołgów. Ze wschodu bez przerwy jadą transporty z rannymi.

Jest dzień 6 stycznia 1944 r. – grecko-katolickie Boże Narodzenie. Zostaję zaproszony do jednej rodziny ukraińskiej na weselenie. Zdając sobie sprawę z tego co może mnie spotkać, zabrałem żonę i pojechałem podwodą tego gospodarza 2 km od Ożomli pod las, gdzie było parę zabudowań gospodarskich. Przyjmowano nas bardzo uprzejmie jako gości. Po prostu zmuszano nas do wypicia większej ilości wódki. Żona bardzo mało piła, ja zaś starałem się niepostrzeżenie wylewać wódkę pod stół. Rodzinie tej leczyłem krowę i nie wziąłem ani grosza, zaś żona moja szyła sukienki córkom tego gospodarza, a córki w zamian w lecie pomagały w ogrodzie (około 20 arów), który otrzymałem koło pierwszego punktu weterynaryjnego od wójta. Około godziny dziewiętnastej zauważyła żona, że kilku młodych ludzi stało pod oknami przypatrując się zabawie, co też zauważyli inni, pytając się gospodarza co to za ludzie. Gospodarz odpowiedział, że zaraz zobaczy. Żona moja coś jakby przeczuwała i powiedziała mi cicho: Chodźmy natychmiast do domu. Parę minut potem starsza siostra panny młodej, Olga, powiedziała żonie mojej, że ojciec zaraz zaprzęgnie konia do sanek i nas odwiezie do Ożomli, ponieważ jest coś nie w porządku, że ci nieznajomi chłopcy odeszli do innych domów. Żona mi to powiedziała, wobec czego po prostu struchlałem. W kilka minut dano nam znak, że konie już czekają. Niepostrzeżenie wyszliśmy bez płaszczy z izby do sanek. Gospodarz zaciął konie i w parę minut byliśmy już na miejscu. Gospodarz powiedział, że ci ludzie coś mu się nie podobali. Byliśmy bardzo podenerwowani i przypuszczaliśmy, że to miał być zamach na nas, kiedy będziemy wracali do domu. Na drugi dzień przyszła do nas Olga i w wielkim sekrecie powiedziała, że jak ojciec wrócił z końmi, za chwilę przyszli znowu ci sami, zaglądali przez okno, a dwóch stało koło furtki. Jeden z nich zapytał: A gdzie jest wasz doktor Palej i jego żona? Otrzymali odpowiedź, że na pewno jest w drugiej izbie albo już poszedł do domu. Jeden z nich zawołał małego chłopca i kazał mu zobaczyć, czy jeszcze jesteśmy i ażeby mu dać znać, ale aby nikomu nic nie mówił. Chłopak zobaczył, że nas nie ma i powiedział, że my już poszli. Gospodarz wyszedł na podwórze, ażeby się przypatrzyć tym ludziom, jednak nie chcieli z nim rozmawiać i odeszli. Byliśmy przekonani, że to miał być zamach na nas. Od tego czasu byłem bardzo ostrożny.

Niemców gromią na wszystkich frontach. Na odprawach we Lwowie mówią nam, że bandy UPA już .masowo mordują Polaków i palą wioski polskie. Należy być przygotowanym do samoobrony, ponieważ bandy ukraińskie koncentrują się w Małopolsce. Wszelkimi sposobami starać się o broń i amunicję. Trzeba być bardzo ostrożnym, ponieważ Niemcy są już dobrze zorientowani, że na terenie Okręgu lwowskiego istnieje silna organizacja podziemna, wobec czego stają się coraz bardziej wrogo nastawieni do Polaków. Więzienia we Lwowie są przepełnione Polakami, a zwłaszcza inteligencją, chłopami, oficerami rezerwy i podoficerami, których w straszliwy sposób katują i nocami wywożą na zachód. Po powrocie z odprawy zwołałem naradę sztabu obwodu i zreferowałem sytuację, jaka się wytworzyła: należy się liczyć z tym, że bandy ukraińskie na pewno i w naszym powiecie przystąpią do masowych mordów Polaków i niszczenia wiosek polskich, a Niemcy w ogóle nie zwrócą na to uwagi, a nawet będą z tego zadowoleni. Dowódcy plutonów zostali powiadomieni o tym i że należy dobrze się zabezpieczyć, i być w pogotowiu.

cdn.

[2] paskować – nielegalnie handlować

MISCELLANEA

ab imo pectore

Zenon Rogala

BALSAM

- O, podejdź tu, podejdź, narodzie chrześcijański! Tu się sprzedaje, tu się kupuje, odejdź szczeniaku, bo cię opluję!

- Gdy cię ząb w nocy boli, dałbyś tysiąc złotych, żeby cię boleć przestał, a jedna kropla tego balsamu ojców kapucynów, z Góry świętej Genowefy, twój ból uśmierzy i twój ból ukoi!

- No, odejdź chłopie, bo ci dokopię! – głos miał chropowaty jak całą twarz.

Mógłbym godzinami słuchać tej jarmarcznej poezji i prozy, tej ludowej reklamy i naturalnego prowincjonalnego marketingu.

Miał pod szyją zawiązaną kolorową apaszkę, a na głowie mały kaszkiet, jakich ostatnio nie widuje się zbyt często. Dziwnie czerwonawy i chropowaty nos dotykał prawie górnej wargi.

Nie stałem zbyt długo obok jego stoliczka, bo ciotka Hela już z daleka kiwała na mnie, żebym wracał do naszego straganu. Tu królowały wszelkie drobiazgi odpustowe. Były więc kolorowe pierzaste koguciki, jak te w piosence, plastikowe wiatraczki na specjalnie skręcanych drucikach. Kolorowe piłeczki wypełnione trocinami, na długich gumkach do podbijania. Baloniki do dmuchania, często niezbyt sprawne, bo pękały zaraz po nadmuchaniu, ale cóż, trudno, już były zapłacone. Obowiązywała zasada: towar nietknięty - pieniądz niewzięty. Ale skoro ktoś już zapłacił – trudno. Reklamacji nie uwzględnia się. Po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględnia się. Największą furorę robiły korkowce i kapiszonowce; nabite papierowymi pociskami czyniły niezły hałas wokół placu kościelnego. Dopóki słychać było huk wystrzałów, znak to, że zabawa jarmarczna trwa na całego. Nie mogło też zabraknąć słodyczy: specjalnie pakowanych w kolorową bibułkę całusków, rąbanych cukierków (już odważonych, żeby nie tracić czasu na ważenie przy natłoku klientów), ułożonych w różańce maleńkich okrągłych ciasteczek, noszonych potem na szyi, jak ozdobne korale. Na początku mojej wakacyjnej pracy w jarmarcznym biznesie ciotki Heli odczuwałem coś w rodzaju wyrzutów sumienia, że taką tandetę sprzedaję anonimowej klienteli, ale kiedy widziałem z jaką zapalczywością i oczekiwaniem, a przede wszystkim radością, dokonują tych zakupów, złagodził się mój samokrytycyzm. W dodatku ciotka była wyraźnie zadowolona z mojego zaangażowania i kupieckich talentów; bywało, że przy naszym straganie zbierała się największa ciżba potencjalnych kupujących; powoli odkrywałem też swoją kupiecką smykałkę.

Kiedy poszedłem w tak zwane ustronne miejsce, zobaczyłem tego w apaszce, jak na parapecie małego okienka rozlewa z butelki wino do małych buteleczek, te krople balsamu ojców kapucynów z Góry świętej Genowefy. Dopiero na ten widok zrozumiałem, co to jest ból zębów.

NELSON

Wiem, że szedłem. Wiem, że szedłem powoli. Wiem, że szedłem bardzo powoli. Ze względu na mój wyjątkowy stan wszyscy dostosowali się do mego nastroju i milczeli. Samochody, jak co dzień, pędziły z taką samą zawrotną prędkością, zwłaszcza na Cromwell Road, ale robiły to bezdźwięcznie. Widziałem, że wszyscy Anglicy, których spotykałem, porozumiewali się na angielskie migi. Nawet ustępowali mi miejsca, bo w tym wolnym marszu często zatrzymywałem się, po to, by ten ciężar nie przygniótł mnie do reszty. Więc póki szedłem wolno, póki nogi czuły jeszcze podłoże i póki ta angielska ziemia jeszcze chciała mnie nosić, posuwałem się do przodu.

Wszystko, co dzisiaj robię, robię po raz ostatni. Więc ostatni raz wstaję z tego skrawka pod schodami w angielskiej piwnicy, w której gościnny gospodarz miał urządzoną pralnię. Co rano musiałem podnosić materac i stawiać go na baczność, inaczej nikt, a dokładnie pani Helena, nie miałaby szans wejść do tego maleńkiego bejsmentu[1], aby obsłużyć maszynę pralniczą, więc ostatni raz rzucam okiem na materac w pionie, wolny dostęp do maszyny pralniczej i ostatni raz kładę klucz do pralni obok licznika gazowego.

Torba, w której mam dosłownie wszystko, jest dzisiaj wyjątkowo ciężka. To zrozumiałe, bo dzisiaj jest dzień mojej przeprowadzki na nowe miejsce zamieszkania, więc tam wyjmę i poukładam w nowej szafie wszystkie moje koszule, przeciwdeszczową kurtkę, zapasowe buty, swetry i przeznaczone dla moich najbliższych prezenty, których niemały zbiór zgromadziłem po prawie półrocznym pobycie w tym wielomilionowym mieście. Zrozumiałe też, że w specjalnej skórzanej torbie-saszetce, zapakowałem wszystkie dokumenty, książeczkę oszczędnościową Abbey z kwotą dwóch tysięcy funtów, paszport, bilet powrotny, dwieście funtów gotówki, listy, zdjęcia, adresy, telefony i te największe osobiste skarby, które nosi się w specjalnych zakamarkach.

Na mojej dotychczasowej, półrocznej trasie, ostatni raz, od ciemnoskórego konduktora, kupuję bilet z dziwnej maszynki na jego piersiach i ostatni raz wchodzę do tej knajpy, żeby ostatni raz pracować jako cook assistant[2].

Jutro natomiast wszystko będzie po raz pierwszy. Nowe mieszkanie, nowa trasa z domu do pracy, nowa praca i nowa, godziwa stawka za godzinę. Byle więc do jutra.

Póki co, jeszcze jest dziś i póki co, kończę ostatni dzień mojej obecnej, wieczornej, ostatniej pracy.

Kiedy ostatni raz wszedłem do szatni i ostatni raz stanąłem przed swoją szafką, to po raz pierwszy od pół roku zobaczyłem, że szafka była otwarta. I nie to okazało się najstraszniejsze. Najstraszniejsze było to, że szafka stała pusta.

Nikomu nie życzę takiego przeżycia. Na chwilę rozstąpiła się pode mną angielska ziemia. Za chwilę zrozumiałem, że to angielsko-polska rzeczywistość i że jeśli jeszcze żyję, to znaczy, że za chwilę wyjdę z tej szatni mocniejszy.

---

[1] *ang. basement – suterena*
[2] *pomocnik kucharza*

PIŁECZKA

Znów dzisiaj patrzyła na mnie i uśmiechała się tajemniczo. Dopiero gdy wchodziłem do mieszkania po skrzypiących, drewnianych schodach, uświadomiłem sobie, że całą drogę do domu przefrunąłem tuż nad ziemią, począwszy od ratusza, przez całą Świerczewskiego, całą Ściegiennego, aż do Szopena. Tylko kilka razy w czasie tego lotu dotknąłem stopami ziemi. Kiedy przelatywałem obok szkoły, zobaczyłem, że stoi w tym samym miejscu, mimo moich modlitw o to, żeby zapadła się pod ziemię. Uświadomiłem sobie, że paskudne jutro zatrzyma mnie w tym budynku przez tyle godzin, zanim znów po południu będę mógł patrzeć na nią, gdy w harcerskim kręgu, w czasie wspólnej zbiórki w harcówce, w podziemiach ratusza, zaśpiewamy razem: „... będę tulił czarną główkę miłej swej do snu...”. Śpiewać piosenkę będą wszyscy, ale ja będę śpiewał tylko dla niej. Więc kiedy dzisiaj zapytała mnie, podrzucając do góry małą piłeczkę, czy przyjdę jutro na zbiórkę, byłem pewien, że chce usłyszeć ponownie to wyśpiewane zapewnienie.

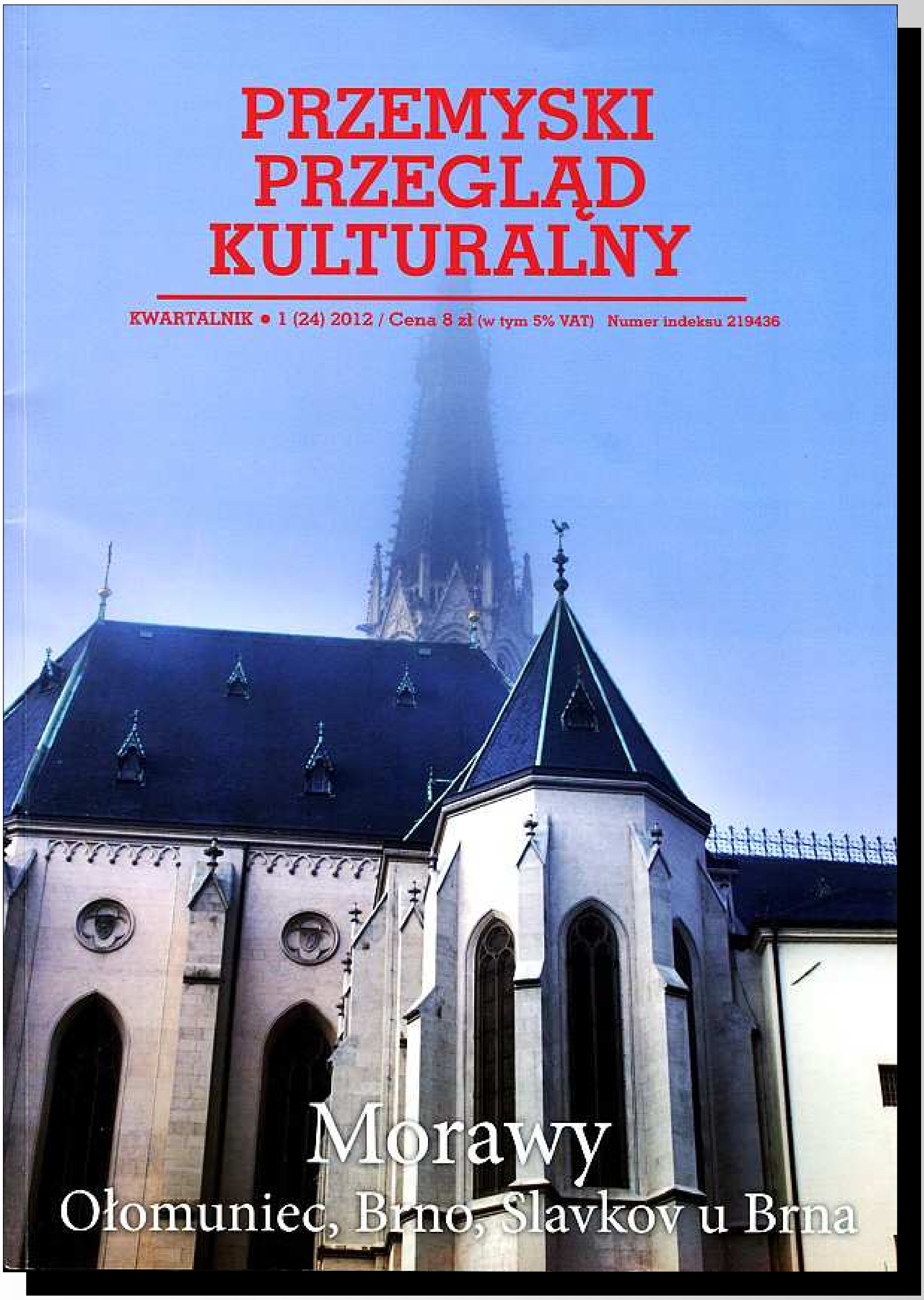
Kiedy była uczesana w dwa piękne, czarne warkocze, wtedy, w zależności od sytuacji, widziałem obydwa końce zwisające swobodnie z tyłu albo z przodu. Z przodu było najlepiej, bo widziałem jej przepiękną twarz, w czarnej ramce z włosów. Ale często, przeważnie właśnie na zbiórkach harcerskich, zmieniała warkocze na przepiękny koński ogon, swobodnie dyndający z tyłu głowy, który przecież przy szybkich ruchach głową wychylał się raz z jednej, a raz z drugiej strony jej roześmianej buzi.

Bywało – i to było najbardziej ekscytujące, że snując się po wąskich uliczkach naszego miasteczka, nagle i całkiem niespodziewanie natykałem się na nią, idącą z koleżanką. Wtedy – i tego nie mogę do dziś zrozumieć, zaskoczony taką niespodziewaną bliskością, udawałem, że jej nie widzę, mimo, a przecież właściwie dlatego, że nagle serce waliło mi w piersi jak młot w kuźni pana Komorowskiego. Podczas gdy ja byłem pewien, że z mojej strony to było tylko głupie, tchórzliwe udawanie obojętności, o tyle nie byłem pewien, czy brak jej reakcji na mój widok, to też rodzaj pozoru, czy zwykły brak zainteresowania. Wątpliwości te pozostały nierozwiązane do dnia dzisiejszego.

Wakacje się skończyły. Misternie uknute plany nowej strategii naszych spotkań niespodziewanie przerwała październikowa odwilż i coraz głośniej wypowiadane, w mieście i wśród uczniów, nazwisko dziewczyny na liście wyjeżdżających z naszego kraju.

Domek był maleńki, z maleńką rabatką za pochylonym płotem. Za otwartą furtką skrzynie, pudła i pudełka, nie jak do zwykłej przeprowadzki, lecz widać, że spakowane na daleką podróż. Siedziałem w krzakach naprzeciwko i bezradnie patrzyłem na krzątającą się wokół bagaży rodzinę. I wtedy zobaczyłem ją, przed domem; zatrzymała się... tak... patrzy w moją stronę... podnosi rękę, raz w górę, raz w dół. Zatem warto było znosić torturę rozstania, czyżby mnie widziała... macha do mnie... nie... ona tylko wysoko podrzuca maleńką piłeczkę.

PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI



Wydawca:
Przemyska Biblioteka Publiczna
im. Ignacego Krasickiego
ul. Juliusza Słowackiego 15
37 -700 Przemyśl
tel. centrala: (16)6783960, 6786287, 6783652, 678 35 82, w. 31
tel./fax: 678 62 91
e-mail: ppk@biblioteka.przemysl.pl
www.redakcja.pbp.webd.pl

W numerze

WYCIECZKA – PRZEMYŚL I OKOLICE

7–10 czerwca 2012 r.

Mariusz Frodyma

Przygotowywaliśmy się do tej wycieczki przez wiele miesięcy, poczynając od ogólnych uwag w rodzaju: „Musimy zorganizować wyjazd do Przemyśla" aż po konkretne ustalenia. Szczegółowe propozycje dotyczące programu (co w którym dniu zwiedzamy) przygotował ***Czesław Kudła***. To, że mieliśmy bardzo dobre warunki zakwaterowania, zawdzięczamy ***Annie Szałydze-Kuźmie***, która poświęciła wiele czasu, aby dograć te sprawy. Zebrała się nas ostatecznie nie tak znów mała grupa kilkunastu osób – ***członków i sympatyków Stowarzyszenia Przyjaciół Przemyśla*** – gotowych na tę eskapadę. Byli tutaj rodowici przemyślanie, a także ci, którzy nie mieszkali w grodzie nad Sanem od urodzenia, ale spędzili tam pewien, ważny dla nich okres życia. Byli wśród nas tacy, którzy kiedyś, przed laty, zobaczyli Przemyśl na szkolnej wycieczce, wreszcie ci, co w naszym pięknym mieście mieli się znaleźć po raz pierwszy.



2



1

W pogodny czerwcowy ranek wyruszyliśmy z Krakowa na wschód kilkoma samochodami, dzięki zmotoryzowanym Koleżankom i Kolegom. Miejscem pierwszego postoju była **Pogórska Wola** koło Tarnowa, gdzie był czas na wypicie gorącej herbaty czy kawy. Obejrzeliśmy tam pomnik postawiony w miejscu egzekucji wielu Polaków w czasie II wojny światowej; wśród osób rozstrzelanych przez Niemców była też znana narciarka i kurierka ZWZ-AK ***Helena Marusarzówna*** *(fot. 1)*. Ruszyliśmy dalej – przez Dębicę, Rzeszów, Łańcut. Niektórzy uczestnicy wycieczki zatrzymali się nieco dłużej w **Jarosławiu**, oglądając ratusz a także cerkiew. Po południu dotarliśmy do **Przemyśla**. Po zakwaterowaniu się w hotelu „Belferek" przy ul. Kraszewskiego (Zasanie) przyszedł czas na pierwszy spacer: kościół Salezjanów, pomnik Orląt Przemyskich, rynek,



3



katedra, zamek, park, znajdujący się koło hotelu „Gromada” bunkier z Linii Mołotowa. To był dopiero przedsmak tego, co mieliśmy zobaczyć w ciągu następnych dni...

Nazajutrz spotkaliśmy się na przemyskim rynku. Tutaj, każdy z nas otrzymał od Naczelnika Wydziału Promocji Urzędu Miasta Przemyśla, pana ***Jana Jarosza***, zestaw interesujących folderów *(fot. 2, 3)* a także płytkę DVD z filmem promującym miasto – zatytułowanym „Fajrant w Przemyślu”. Kilka zdjęć w sce-



nerii rynku, m.in. na ławeczce ze Szwejkiem, i ruszyliśmy w kierunku nowoczesnego (dla wielu osób – architektonicznie kontrowersyjnego) gmachu Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej, gdzie naszymi przewodnikami byli: Kierownik Biblioteki MNZP pan ***Antoni Sarkady*** oraz inni pracownicy muzeum *(fot. 4, 5)*. Trudno dokładnie przedstawić w tym tekście wszystko, co zobaczyliśmy. Duże wrażenie wywarła na nas przygotowana starannie, a jed-



nocześnie z rozmachem, multimedialna ekspozycja poświęcona Twierdzy Przemyśl. Uwagę przyciągały również bogate zbiory sztuki sakralnej – obrządku łacińskiego i greckokatolickiego. Muzeum może się też pochwalić kolekcją pięknych, intarsjowanych i inkrustowanych mebli. Dodajmy jeszcze, że z tarasu muzeum podziwialiśmy panoramę miasta.

Krótki spacer – i znaleźliśmy się w położonej we wschodniej pierzei rynku starej kamie-



nicy. Przed wojną była własnością znanej rodziny ***Bystrzyckich***, zaś obecnie mieści się tutaj oddział MNZP: Muzeum Historii Miasta *(fot. 6, 7))*. Zapoznaliśmy się z dziejami Przemyśla, historią jego dzielnic i ulic. Dla rodowitych przemyślan interesujące mogły być stare książki meldunkowe, znajdujące się w jednej z sal. Na piętrze przenieśliśmy się do dziewiętnastowiecznych oraz dwudziestowiecznych (do okresu międzywojennego włącznie) wnętrz mieszczańskich. Z dużą pieczołowitością od-



tworzono wygląd kuchni, gabinetu pana domu, salonu, jadalni, sypialni. Inna ekspozycja to stare studio fotograficzne Bernarda Hennera i Adama ***Wysockiego***; atelier wyposażone w dawne aparaty, sprzęty. Piszący te słowa ma zdjęcie komunijne, zrobione pół wieku temu w zakładzie Wysockiego. Jeszcze inna ekspozycja – klasa szkolna sprzed wielu lat, a w niej m.in. stare ławki z otworami na kałamarze. Wreszcie – na najwyższym piętrze – wystawa opowiadająca o Przemyślu w okresie II


9

wojny światowej.

Po południu był czas nie tylko na poobiedni deser (lody w znanej przemyskiej cukierni „Fiore" przy ulicy Kazimierzowskiej), ale również na zwiedzenie budynku dworca PKP. Niedawno remontowany, doczekał się zdjęć w internecie i w prasie ogólnopolskiej oraz komentarzy nazywających wręcz pałacowymi wnętrza dworcowego budynku.

Bardzo miłym akcentem pobytu w Prze-


10

myślu okazała się uroczysta kolacja w „Belferku" *(fot. 9)*, głównie dzięki „strawie duchowej", przygotowanej przez nieocenioną ***Annę Szałygę-Kuźmę***. Pani Ania (sopran) oraz pan ***Lesław Żółty*** (baryton)[1] wykonali kilka utworów przy akompaniamencie pana ***Zenona Kulika*** (fot. 10). Słuchacze nie szczędzili braw, dziękując za ten koncert! Nadmieńmy, że wśród uczestników tego wieczornego spotkania byli państwo ***Nalan i Antoni***


11

Sarkady z Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej *(fot. 11)*.

Program następnego dnia rozpoczęliśmy na **Zniesieniu** *(fot. 12)*. Widzieliśmy górny odcinek stoku narciarskiego z wyciągiem, a gdy weszliśmy na najwyższy punkt Zniesienia, naszym oczom ukazała się piękna panorama Przemyśla i okolic. Z parkingu ruszyliśmy samochodami w stronę **Kalwarii Pacławskiej** *(fot. 13)*, zatrzymując się po drodze we **Fredropolu**, gdzie oglądaliśmy drewnianą cerkiew. Warto w tym miejscu wspomnieć również o mogą-


12

cej zachwycić niejednego „mieszczucha" wspaniałej, bujnej przyrodzie okolic Kalwarii. W tym pięknym otoczeniu, na wzgórzach znajduje się kościół i klasztor Franciszkanów oraz kaplice kalwaryjskie. W pewnej odległości od zabudowań klasztornych jest platforma widokowa, z której można podziwiać rozległą panoramę okolicy. W Domu Pielgrzyma posili-


13

liśmy się; potem był jeszcze czas na odpoczynek na świeżym powietrzu.

A teraz – dalej na południe, do **Arłamowa**, znanego w czasach PRL ośrodka wypoczynkowego dla partyjnych dygnitarzy. W stanie wojennym był tam internowany ***Lech Wałęsa***. Sam ośrodek w Arłamowie, położony wśród gór i lasów, z dala od siedzib ludzkich, oglądaliśmy tylko zza ogrodzenia. Jak nas poinformował ochroniarz, w związku z remontem


14

i w zabytkowych wnętrzach, poznawaliśmy dzieje i obecny wygląd wspaniałej budowli.

I wreszcie, już na pożegnanie, arboretum w **Bolestraszycach** – rodzaj ogrodu botanicznego, jakiego nie powstydziłoby się niejedno duże miasto w Polsce *(fot. 15, 16)*. Na urozmaiconym, pagórkowatym terenie rośnie wiele gatunków drzew oraz krzewów. Są też trzy stawy z roślinami wodnymi i bagiennymi. Na terenie arboretum znajduje się dwór, w którym w XIX w. mieszkał i tworzył znany malarz ***Piotr Michałowski***.

zarządzonym przez nowego, prywatnego właściciela, nie można wejść na teren ośrodka. Trudno... Wyruszyliśmy w dalszą drogę, której po pewnym czasie zaczęła towarzyszyć burza. Dlatego większość z nas tylko przez szyby samochodów patrzyła na znajdującą się w **Posadzie Rybotyckiej** niezwykle cenną, murowaną cerkiew obronną z XV wieku.

Gdy dotarliśmy na rynek w **Birczy**, burza uspokoiła się. Można było wyjść z aut i rozprostować kości przed następnym etapem – do **Dubiecka** *(fot. 14)*, miejsca urodzenia „księcia


16


15

poetów polskich”: biskupa ***Ignacego Krasickiego***. Czekał nas tu smaczny posiłek; chwaliliśmy pyszne pierogi – jak domowe! I znowu – dzięki Annie Szałydze-Kuźmie, która z odpowiednim wyprzedzeniem zarezerwowała miejsca w restauracji. Po spacerze w parku otaczającym dubiecki zamek, w zamkowych wnętrzach miło spędziliśmy czas przy kawie, winie, deserach. Nadeszła pora powrotu do Przemyśla. Było już ciemno i nie mogliśmy, niestety, podziwiać uroków trasy prowadzącej wzdłuż **Sanu**, przez Babice, Krzywczę, Wapowce.

Ostatni dzień wycieczki. Część uczestników wybrała się do **Krasiczyna**, gdzie najpierw chodziliśmy alejkami pięknego, starego parku, oglądając zamek z zewnątrz, z wszystkich stron. Później, już pod fachową opieką przewodnika, na dziedzińcu, krużgankach

Jak widać – program wycieczki był bardzo bogaty. W ciągu paru dni zobaczyliśmy różne interesujące miejsca w Przemyślu, ale też w jego okolicach. Dodajmy jeszcze (tak na marginesie), że ci, którzy mieli ochotę, znaleźli również czas na oglądanie w telewizji rozgrywanych właśnie wtedy meczów Euro 2012.

Wracaliśmy do Krakowa zadowoleni z wycieczki, już myśląc o kolejnym wyjeździe do Przemyśla, w przyszłym roku. Zostało przecież jeszcze sporo do zwiedzania! Na przykład... forty[2]! *(fot. 17)*


17

[1] uczeń Prof. Anny Szałygi-Kuźmy; vide QL 01/2004(**09**)

[2] Część uczestników naszej wycieczki już tym razem zwiedziła niektóre forty. Jednak, jak wiadomo, jest tych fortów kilkadziesiąt, więc będzie w czym wybierać w przyszłym roku.

Michał Kozera rysuje







HUMOR ŻYDOWSKI

Swat od czasu do czasu nagabuje zamożnego młodzieńca, który uparcie trwa w stanie kawalerskim.

– Pan się musi ożenić, panie Tintenfas,

– Ożenić? Nie miała baba kłopotu!

– Jakie tam kłopoty? Pan nie wiesz, co to takiego małżeństwo! Co to za skarb! Wyobraź pan sobie: budzisz się pan z samego rana – żona uśmiecha się jak aniołek, na stole już gotowe śniadanko, a obok na krześle przy łóżku wyprasowany garnitur i wytarte z kurzu pantofle... Wraca pan w południe – na stole wszystkie pańskie ulubione przysmaki, a po obiedzie małżonka czuwa nad tym, by nikt panu nie przeszkodził w drzemce... No, a wieczorem, po kolacji, sadowi się pan wygodnie w klubowym fotelu, żonka podaje panu gazetę, siada tuż obok i zaczyna opowiadać o tym, co to się zdarzyło w ciągu dnia... I mówi, i mówi, i mówi... Oj, żeby jej mowę odjęło!...

<<< >>>

Jest święto Kuczek... Bankier Gruss zwraca się do swego plenipotenta giełdowego Izydora:

– Idę do synagogi, wrócę za trzy godziny. Przez ten czas nie chcę zajmować się interesami...

Po upływie pół godziny telefon z giełdy:

Akcje „Semperit" zwyżkują. Kurs 430. Izydor z trudem opanowuje zdenerwowanie. Po kwadransie znowu telefon:

– Akcje „Semperit" notują 450.

Izydor zrywa się z krzesła, w drżącej prawicy ściska bibularz.

Telefon dzwoni w dalszym ciągu:

– Kurs „Semperitu" 470.

Izydor chwyta kapelusz, pędzi do synagogi i szepcze na ucho bankierowi:

– Panie szefie, akcje „Semperit" notują 470! Chlebodawca mierzy go karcącym spojrzeniem.

– Panie Izydor! Popełnił pan trzy kardynalne błędy. Po pierwsze - nie pozwolił mi pan dokończyć świątecznej modlitwy. Po drugie - zakłócił pan spokój naszych współwyznawców, modlących się w Domu Bożym. Po trzecie - tu w synagodze akcje „Semperit" notują już 485...

Strona tytułowa: Tomasz Jastrzębski - poszukiwacz „skarbów” z czasów wojennych - jeden z bohaterów audycji telewizyjnych „Było, nie minęło”, przy wartowni zniszczonej bramy fortecznej na Zniesieniu w Przemyślu.

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA
w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, tel.: 124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – red. nacz., M. Frodyma. Współpraca: M. Kozera, Z. Ostrowski, J. Schubert, A. Sarkady. A. Stanok

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów.
Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.